



ALEKSANDER ORŁOWSKI.

W wielkim szeregu obcych artystów, którzy na polskie dwory z dżetem, lub pędzlem zjeżdżali, był jednym z ostatnich francuz Norblin de la Gourdain. Norblin różni się tem od wielu innych, iż nie zamyka swej działalności wśród złoconych sztukaterji i „panneaux“ w cieplarnianej atmosferze rezydencyjnej i reprezentacyjnej sztuki. Wielki mistrz wyprowadza sztukę z oblanego perfumami salonu i audjencyjnej sali na żyzną odłogiem leżącą glebę tematów rodzajowych.

W epoce tej, kusy frak ustępuje przez sukmaną krakowską i rzymską tarczą a gladjatorski miecz przed kościuszkowską szablą i bronią kozyniera. Norblin przedstawiciel sztuki w Polsce zaczyna tworzyć sztukę w Polsce, kształcąc ucni, jak Płonckiego, Wojniakowskiego i Orłowskiego.

Aleksander Orłowski urodzony w Warszawie w r. 1777 był synem biednego oberżysty. Ks. Adam Czartoryski odkrywszy talent chłopca, oddał go w naukę Norblinowi przewodzącemu „malarnią w Warszawie. Gdy zagrały surmy bojowe w r. 1794 wyru-

szyl Orłowski, by spłacić należny Ojczyźnie haracz krwi, a ranny pod Zgierzem powrócił znowu do Warszawy, by się dalej pod kierunkiem Norblina kształcić.



Aleksander Orłowski.

„Autoportret“.

W roku 1799 bawił wraz z malarzem Płonckim w Nieborowie. W trzy lata później opuszcza kraj rodzinny, by osiedlić się w Petersburgu i wśród obcego społeczeństwa dojrzewać i rozwijać się i wreszcie w niedostatku umrzeć w r. 1832.

O tym to malarzu, którego w publikacjach rosyjskich nazywają rosjaninem mówił Mickiewicz: „Nasz malarz Orłowski miał gust sopli-cowski, wysławiał wszystko w Polsce, ziemię, niebo i lasy”.

W twórczości Orłowskiego przebija się z całą potęgą pierwotności, sarmacka wrażliwość na objawy bujnego życia żołnierki i wsi.

Norblin w krajobrazie polskim umieszcza Rembrandtowskiego pustelnika, zaczytanego w foljancie, Orłowski walącą się karcznię. Różnica dwu artystycznych kultur jest tu wymowna.

Norblin patrzy na Polskę, przypomina-



Aleksander Orłowski.

Z teki karykatur.



Aleksander Orłowski.

Z teki karykatur.

jąc sobie arkadyjskie ruiny, Orłowski dostrzega nędzną miścinę z całą jej biedą i brzydotą.

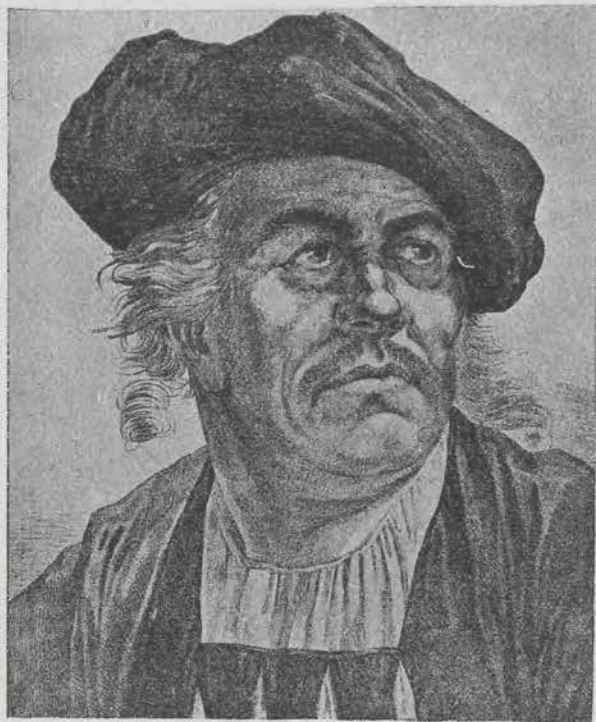
Orłowski chciał być polskim Hogarthem, lecz zabrakło mu do tego intelektualnej wyższej wartości, która z rysunku karykaturalnego czyni satyrę społeczną.

Orłowski próbował ująć w własną formę artystyczną życie, nie posługując się jako twórca tą, którą długimi wiekami artystycznej kultury i tworzył geniusz francuski.

Zasługą Orłowskiego niewątpliwą jest, iż rychło przestał być uczniem Norblina i tworzył sam swój świat rubasznych linii. Nie o wydobyć piękna, tkwiącego w ładzie harmonijnym i proporcji chodziło Orłowskiemu, lecz o ujęcie charakteru osoby i przedmiotu. Siła zaś jego była w bezpośredniej wrażliwości, w zdolności uchwycenia każdego zjawiska w jego istocie, w jego najcharakterystyczniejszym skrócie.

Śluszenie twierdzi W. Tatarkiewicz, w swej przedmowie do katalogu wystawy dzieł Orłowskiego w r. 1910, iż Orłowski największym był w tem, co *impromptu* wychodziło z pod jego ręki, że wykończając psuł raczej swe szkice. Nie był on kompozytorem, rzadko rzucał się na kompozycje, wybiera z nich najprostsze; najczęściej daje urywki, wycinki z widzialnego świata.

Był więc może Orłowski wogóle nie malarskim, a tylko rysowniczym talentem? Nie. Nie, jeżeli pod takim rysowniczym usposobieniem rozumiemy takie, które w każdym zjawisku podkreśla jego linje, jego kontury, bez względu, czy to ma zresztą być rysunek ołówkowy czy obraz olejny.



Aleksander Orłowski.

Studjum.



Wzrostem po Orłowski
Czerwony 1915.

Malarskim jest natomiast ten sposób widzenia, który w zjawisku spostrzega głównie i zaznacza stosunki jego płaszczyzn, światła na nim i cieni, który nie izoluje poszczególnego przedmiotu, nie odcina go liniami a łączy i zlewa z otoczeniem.

Otóż w tem znaczeniu Orłowskiego sposób patrzenia na rzeczy był *par excellence* malarski; choć pracował on najchętniej ołówkiem, piórem, kredą i rylcem, ale dotknięcie jego rylca, czy ołówka jest tak miękkie, iż robi z linii płaszczyznę.

Ta mowa linii i płaszczyzn, którą się Orłowski wypowiada jest jego własną zdobyczą.

Orłowski pozostawił tysiące improwizatorskich szkiców, rysowanych zazwyczaj w gospodzie przy szklance wina.

Z ulotnych szkiców z czią przechowywanych, w zbiorach ks. Czartoryskich w Krakowie, Pawlikowskich we Lwowie i Ermitażu petersburskim wieje umiłowanie konia i szabli, tych dwu przebogatych tematów sztuki polskiej, której ogniwami w jeden łańcuch spojonymi byli Michałowski, Grotger, Kossak Julian, Matejko i Brandt.

Marjan Dienstl.



Aleksander Orłowski.

Kartka ze szkicownika.

Altruistki i ofiarnice w polskiej powieści współczesnej.

Według Fouillé'go przeważa wśród kobiet typ *anabolityczny*, gromadzący energię wewnątrz organizmu w przeciwieństwie do *katabolitycznych*, wydających energię na zewnątrz mężczyznom.

W stosunku do ofiar „z ducha“ możnaby to nazwać — językiem badacza Słowackiego — „anhellizmem“ i „kordjanizmem“.

Jeżeli we wszystkich epokach — aż po chwilę ostatnią — górował wśród kobiet pierwiastek poświęceń anhelicznych „cichego serca“, heroizm przymierza z koniecznością dziejową, — to znamioną cechą chwili dzisiejszej jest nagłe przeobrażenie się anhellizmu w kordjanizm, czyli — według Z. S. Zaleskiego *) „heroizm czynny, tragiczny w łamaniu skrzydeł konieczności dziejowej“.

Znika dziedzictwo pralegendowej Wandy; bezradna ofiara samounicestwienia w imię idei, bodziec energii wewnętrznej, synteza mało zróżnicowanego napięcia. Dźwiga się, mężnieje, rośnie pierś bohaterki. Gdy amazonka XVII, XVIII i pierwszej połowy XIX w. dawała siebie ojczyźnie w pokorze aktu ofiarnego, kając się przed

Bogiem i ludźmi z wielkiego umiłowania swego, które — jako wychodzące po za kres umiłowań rodzinnych — było raczej uczuciem nagannem, aniżeli chwalebne (Barbara Czarnowska, Joanna Żubrowa, Emilja Platerówna, Zofja Oleśnicka) — bojownica dni naszych z giestem hardej odpowiedzialności za czyny swoje idzie na wyłomy. Sługa idei, jest „równą na ziemi i w niebie“ towarzyszką najwyższych sterników akcji wyzwolenczej. Gdy u stóp jej giną przywódcy, sama układa plan walk i zwycięstw, kieruje załogą opuszczonych bastjonów, lwim sercem dźwiga wąpiących (dekabrystki z „Płomieni“). Gdy w puchach dobrobytu filistrzeje Orski, na barykadach za niego, za siebie ginie „kordjaniczna“ Halszka (z „Jaskółki“ Daniłowskiego).

Miały siłę altruistki nasze wszystkich epok minionych, siłę owej niewiasty żydowskiej, w której oczach ukrzyżowano siedmiu synów, a ona nie tylko nie płakała lecz dodawała im otuchy. Siła ta jednak pochodziła tylko z wiary w cele ofiar, nie w siebie samą, w potęgę własnej indywidualnej, Bogu podobnej mocy, która jest światłem sama w sobie i musi stwarzać płomienne zorze nowego jutra.

*) Kobieta i kobiecość w poezji Słowackiego.

Jak na wrażliwej kliszy, tak w ciemniach optycznych powieści odbija się rwąca fala zewnętrznej i wewnętrznej życia.

Typ z rodu „Marji“ Orzeszkowej, która — żeby nie zmacić szczęścia rodziny — zdeptała w sobie radosny szal miłości, — był wzorem ofiary czystego serca dla celów najbliższych. Typ „panny poręcznika“, Barbary Czarnowskiej i „sierżanta“, Joanny Żubrowej, które — po walkach orężnych — usunęły się w zacisza domowe, twierdząc, że nie z siebie lecz z woli Boga poszły w krwawy bój, — świecił przykładem kordjanicznych ofiar na ołtarzu dobra ojczyzny.

Z cichego morza anhellizmu wyszła dla Słowackiego „kobieta wieczna“, ta, której zadaniem pilnować, by polskich duchów „nie brała żadna cielesna pokusa iść za zwierzęcą i niższą gromadą...“

„Ministerstwem prośby“ obdarzali kobiety poeci, uważając pokorę za punkt wyjścia jej ofiarności.

W literaturze świata całego, snują się wojewodziny Amelje, Lille Wenedy, Czarne panie — Krasieńskiego, Szekspirowskie Kordelje, Wagnerowskie Seuty, Elżbiety i Elzy, rzucające zduszoną jaźń swoją na pastwę ofiarnych płomieni.

Nagły odwrót zasygnalizował się bardzo wyraźnie w powieściopisarstwie, zwłaszcza rosyjskim i naszym ostatniej doby.

Imperatyw własnej woli, wyrwany z kleszców drobnomieszczańskich dogmatów; poszanowanie własnej człowieczej godności, która nie znosi przymusu, — staje się jedyną sankcją praw etycznych.

Gdy Zofja z „Naszych błędów“ Wierbickiej poświęca dziecko swoje na ołtarzu dobra wyklętej nędzy, — nakaz zrodził się i dopełnił w niej samej.

Gdy bez cienia wyrzutu, przez krew i łyzy najbliższych, idą do przeznaczeń swoich dekabrystki z „Płomieni“ Brzozowskiego, a za niemi wszystkie „Jaskółki“ listopadowej wiosny z 1905 roku, — hasła własnych dojrzałych zrozumień i porywów są jedynym ich drogowskazem.

Mamy w ostatnich powieściach akty ofiar dla najbliższych, ale anhellizm ich przybiera hardy odcień tragicznego kordjanizmu (niania w „Kobiecie z przeszłością“ Bohowityna), albo różniczkuje się w typ nieznaną dotąd: ofiary z pogardy...

„Nie lubię twojej dobroci“ — mówi ktoś do Narcyzy Rygier-Nałkowskiej — „bo ona poniża. Tyś zawsze wyglądała na cichą męczennicę, ofiarę egoizmu rodziny. Tyś upokarzała ojca swą czułą a brzydzącą się jego lenistwem opieką. Uwzględniałaś kaprysy matki i siostry, znosiłaś ich lenistwo, dogadzałaś we wszystkim dlatego tylko, aby mózgi nimi pogardzać...“

Zaparcie się siebie w dziecku swoim (matka Wodzireja, Zapolskiej) cichnie pod nawalą przeszacowywania starych wartości. Dziecko nie chce ofiar matki, ale nie pozwala dławic wolnej duszy swojej.

Krzyk „Szalonej Julki“ wdarł się w mistyczne wirydarze umysłów najmłodszych i zwi-

chrzył cichą toń anhellizmu. Burzą się Niny i Werki, Marion (z powieści „Rodziny“), wre buntem cały świat kobiecy Bohowityna. Ktokolwiek ma jaką skargę w sobie, rzuca ją. Dramat i powieść ostatniej doby, jak dziewiąta fala szalejącego oceanu, wali w wampiryzm przemocy, z dzikim skowytym triumfującego protestu.

Nie przeczy się pojęciu ofiary jako takiej. „Czyn, w duchu poświęcenia spełniony“, uważany jest nadal za najwyższy skarb ludzkości (Żmichowska), ale znaczenie jego rośnie w miarę rozwoju uświadomienia. Eloiczne Madzie z „Emancypantek“ Prusa i Mazie Zapolskiej (z „Zaszumi las“) przeradzają się w tytany — „Siłaczki“, dokoła których, snem sfilistrzenia zasypiają wszyscy, gdy one jedne życiem swoim lub śmiercią budzą wieki idące.

Kory — odnowicielki: Wiosny, z gwiazdami nad czołem („Noc listopadowa“ Wyspiańskiego), Kory, Heleny, Michalinki Struga, Jaskółki i Halszki Daniłowskiego, Wandy, Berenta, Salusie z „Wiernej rzeki“, „Studentki“ Czesława Halicza, Marty i Miry Szamoty, Dziewczyna J. Mannowej („Na tym brzegu“), Aksinja Szymańskiego, która, „choć uboga najmitka, idzie, jak pani władna“, — to pochod królewski tych, co w szeregu dotąd są swoim ostatnie, — zrozumiwały, że — „nie wolno człowiekowi wolnemu zamieniać czynów życia na helocą orkę“ (T. Łubińska).

Nagle przeobrażenie się łzawej Eloi w „wysmukłe, bujne, mocne w chodzie i wejrzeniu“ Hildy („Próchno“ Berenta), które „na barkach swoich dźwignąć mogą brzemień majestatu“, — to największy chyba dziw naszego stulecia.

„W epoce Odrodzenia żona nie mogła być dopełnieniem męża, bo była osobistością sama w sobie“ — pisze dr. Daszyńska-Golińska *).

Coś podobnego — na szczeblach żeńskiego intelektu — powtarza się teraz. Gina, uznając własną niemoc, typy przelomowe.

„Romantyczką byłam (romantycy są zawsze spóźnieni) — dziś jestem niczem“ — mówi o sobie „rubinowa księżna“, bohaterka „Gry fał“ Tetmajera i — topi się w czeluściach oceanu — ostatnia mohikanka dawnego typu ofiarności kobiecej, tej, która całą siebie rzuca na stos, ale — po za instynktem ślepego altruizmu, nic dać nie może...

* * *

Glód i żądza ofiar wzmaga się w miarę ujęcia ogromu potrzeb społecznych.

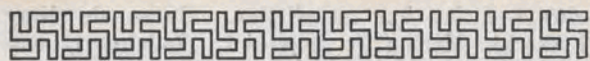
Głęboko i trzeźwo patrzy w życie garstka tych przodownic nowego jutra, które przy przebudowie dawnych form bytu — połowę robót wzięły na siebie.

Nie cofnie się przed stosem całopalnym żadna z nich, ale i nie klęknie w pokorze samounicestwienia.

Z hardą dumą — w pełni dojrzałych uświadomień — wyciąga rękę po brzemień, które czeka na nią.

Cecylja Walruska.

*) Virago — „Emancypantka“, Bluszez, № 16 z 1911 r.



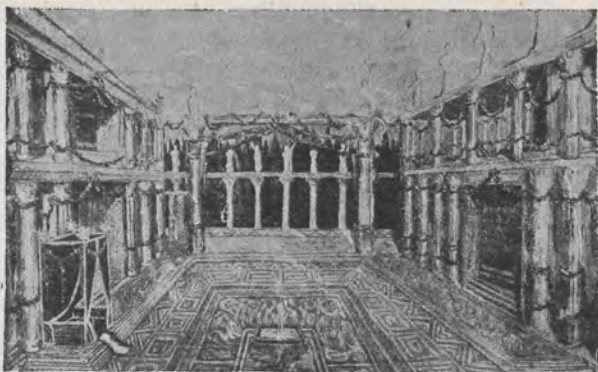
„Emigracja intelektualna“.

W szeregu doskonałych, świetnych i z właściwą naszymu znakomitemu powieściopisarzowi werwą pisanych artykułów, dał nam p. Wacław Gąsiorowski w „Tygodniku ilustrowanym“ niezwykle ciekawy i mający doniosłe znaczenie społeczne obraz stosunków i życia naszej, jak ją nazywa p. Gąs., *Emigracji intelektualnej*.

Bilans autora „*Babilonu*“ wypadł dość sceptycznie: konkluduje on, że znakomita większość przebywających (albo raczej wegetujących) na bruku paryskim rodaków, ginie jak szczypta pyłu w kurzawie; jedynie zaś jednostkom, i to tylko uposażonym w potężne talenty, udaje się osiągnąć na tym przeolbrzymim rynku produkcji intelektualno-artystycznym, jakim jest Paryż, jako taki rozgłos lub stanowisko.

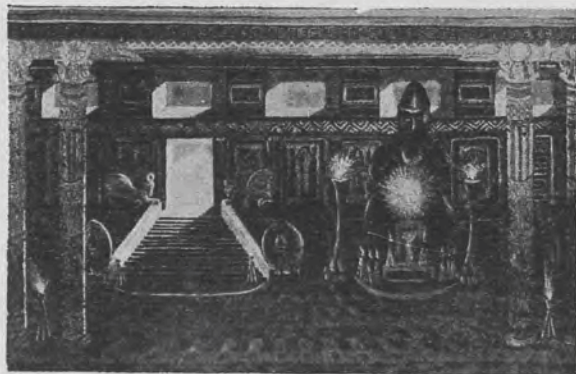
Do tych szczęśliwych wyjątków należy młody kompozytor polski, p. Czesław Lipaczyński, którego dramat muzyczny „*Irydjon*“, osnuty na tle poematu Krasieńskiego, ujrzy wkrótce światło kinkietów, jednej ze scen zachodniej Europy.

Kompozytor nasz jest zarazem twórcą inscenizacji i libretta, które podzielił na trzy akty. Pierwszy na 3 obrazy. 1) *Przed Rzymem* i 2) *Pałac Irydjonu*. Również dwa obrazy posiada



G. Lipaczyński.

Taras w pałacu Heljogabala.



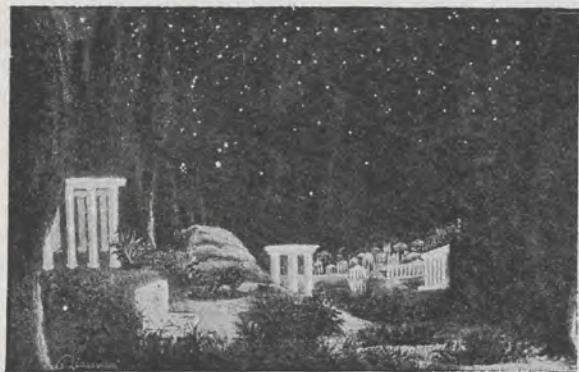
G. Lipaczyński.

Świątynia Mitry.



G. Lipaczyński.

Pałac Irydjonu.



G. Lipaczyński.

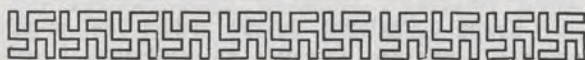
Prolog.

akt drugi: *Świątynia Mitry* i *Katakumby*, w którym autor przeciwstawił w poezji i muzyce różnicę między upadającym i zgangrenowanym bałwochwalstwem, a wzmagającą się potęgą krzyża. Akt trzeci składa się z trzech obrazów, połączonych w integralną całość dwoma preludjami symfonicznymi: *Śmierć Elsinoe* i *Droga do Nirwany*. Pierwszy obraz trzeciego aktu stanowią *Tarasy Heliogabala*, gdzie rozpustny cesarz przeżywa swe ostatnie bachanalje, kończące się pożarem miasta i śmiercią jego władcy. Obraz drugi: *Upadek rewolty Irydjonu*, ratowanego od kary przez Masenise. Obraz ostatni: *Wyzwolenie Irydjonu z mocy Massynisy* przez miłość Irydjonu dla ojczyzny.

Dekoracje, które naszkicował sam autor, są bardzo efektownie i pięknie pomyślane. Z niecierpliwością oczekujemy usłyszenia nowej opery polskiej, tembardziej, że wykonany przed rokiem wstęp do trzeciego aktu, przez orkiestrę Pascala pod dyrekcją Alfreda Baunore'a wzbudził istotny zachwyt wśród słuchaczy.

Dodać należy, że reprodukcje fotograficzne dekoracji do opery p. Lipaczyńskiego wyszły nakładem paryzkiej firmy V, T. Chaumont'a.

A. B. S.



WYSTAWY.

Lato roku bieżącego śmiało można nazwać latem wystaw. Przedewszystkiem, zaczynając już od wiosny, zaczęto urządzać szereg wystaw okręgowych rolniczych w całym kraju. Jest ich taka mnogość, jakiej dotąd nie pamiętamy, a wszystkie mają charakter celowy, praktyczny, wielce pożyteczny dla rolnictwa, wszystkich jego gałęzi poszczególnych, oraz dziedzin pokrewnych. Nadto postanowiono urządzić szereg wystaw przemysłowo-rolniczych na Litwie. Wreszcie bardzo doniosłe znaczenie ekonomiczne i społeczne może mieć dla nas wystawa w Kijowie o charakterze wystawy powszechnej. Otwarcie jej zapowiedziano w miesiącu bieżącym a zamknięcie w październiku. Ze względu na to znaczenie doniosłe, warto jej się przyjrzeć bliżej. Będzie to wystawa: „fabryczna, handlowa, przemysłowa, rolnicza i naukowo-artystyczna“. Program jej zapowiada następujące działy główne:

Grupa pierwsza wszechrosyjska obejmuje działy: 1) Naukowy i naukowo-wychowawczy; 2) Sanitarny, zdrowotności ludu i higiena mieszkań; 3) Gospodarka miejska i ziemska; 4) Dział artystyczny i sztuki stosowanej; 5) Przemysł domowy; 6) Dział maszyn i narzędzi rolniczych; 7) Cukrownie i rafinerje; 8) Hodowla koni.

Grupa druga — handlu i przemysłu. Działy: 9) Przemysł górniczy i hutniczy; 10) Budowa maszyn; 11) Produkty przemysłu fabrycznego, przemysł włóknisty; 12) Rzemiosła; 13) Materjały budowlane; 14) Gorzelnictwo i piwowarstwo. Przemysł spożywczy; 15) Przemysł papierniczy i Drukarstwo; 16) Kolejnictwo, żegluga i komunikacja; 17) Przemysł samochodowy i awjatyka; 18) Rozwój fizyczny i sport; 19) Uprawa pól; 20) Sadownictwo i ogrodnictwo; 21) Winnice i wyrób wina; 22) Hodowla drobnych zwierząt domowych i ptactwa; 23) Gospodarstwo mleczne; 24) Przemysł rybny i myśliwstwo; 25) Pszczelnictwo i jedwabnictwo; 26) Nawozy i produkty chemiczne; 27) Meljoracje.

Podczas trwania wystawy odbędzie się szereg zjazdów wszechpaństwowych i terytorjalnych. Przedewszystkiem ziemstwo kijowskie gubernjalne zwołaże cztery zjazdy: 1) W sprawie ulepszenia finansów ziemskich; 2) W sprawie walki z chorobami zakaźnymi; 3) W sprawie ubezpieczeń ziemskich i 4) W sprawie budownictwa ogniotrwałego. Kijowski zarząd górniczy zwołaże zjazd w sprawie polepszenia środków finansowych miast. Kijowskie Towarzystwo rolnicze postanowiło zwołaże cztery zjazdy: 1) Zjazd okręgowy rolników; 2) Zjazd ogrodników; 3) Zjazd hodowców i 4) IV wszechrosyjski zjazd właścicieli lasów, leśników i przemysłowców leśnych. Kijowskie Towarzystwo miłośników przyrody, łącznie z miejscowem Centralnem Towarzystwem Pszczelniczem, postanowiło zwołaże wszechrosyjski zjazd pszczelniczy. Sekcja budowy maszyn wogóle oraz narzędzi i maszyn rolniczych, postanowiły się starać o przeniesienie do Kijowa organizowanego w Petersburgu zja-

zdu górniczo-metalurgicznego, obejmującego także w pewnej mierze budowę maszyn ogólnych oraz rolniczych.

Sekcja współdzielcza postanowiła zwołaże w Kijowie III-ci wszechrosyjski zjazd współdzielczy. Sekcja hodowli koni postanowiła starać się o zwołanie zjazdu hodowców koni, podczas wystawy kijowskiej i opracować program spraw, dotyczących tej dziedziny.

Sekcja papiernicza i poligraficzna postanowiła zwołaże III-ci wszechrosyjski zjazd księgarzy oraz drukarzy i przedstawicieli innych dziedzin pokrewnych.

Sekcja rozwoju fizycznego, sportu i myślistwa zwołaże pierwszy wszechrosyjski zjazd działaczy w dziedzinie wychowania fizycznego.

Ogółem przez czas trwania wystawy kijowskiej odbędzie się 16 już zapowiedzianych zjazdów.

Zarówno sama wystawa, jak i zjazdy, powinny żywo [zainteresować przedstawicieli wszelkich dziedzin pracy twórczej. Wystawa ogarnie całą Rosję; najbardziej zaś do niej ciąga ziemię najbliższe: Ruś i Litwa, pozatem bogata ziemia za Dnieprem oraz cała Rosja południowa, wreszcie wszystkie najwybitniejsze rynki. Na wystawie w paru pawilonach osobnych umieszczono przemysł i rolnictwo w Królestwie Polskiem. Udział nasz możliwie najliczniejszy, może mieć bardzo doniosłe znaczenie ekonomiczne. A jednak, pomimo to, Królestwo Polskie wzięło dotąd udział w wystawie stosunkowo niewielki; stosunkowo najwięcej może drobnych wytwórców, rzemieślników, następnie pewna liczba rolników i wreszcie najmniej wielkich przemysłowców, którzy widocznie udział w wystawie kijowskiej uważają dla siebie za zbyt cenny. Szkoda wielka!

...Wystawa będzie miała bardzo poważny charakter. Oprócz zwykłego opisu dla reklamy oraz — charakteru handlowego, którego zadaniem jest wyrobienie dla eksponentów możliwie najszerszych rynków zbytu, wystawa kijowska będzie miała charakter dydaktyczny i naukowy, wreszcie badawczy i orjentacyjny. Wnosić o tym można z instrukcji, udzielanej wystawcom co do sposobu wystawiania okazów. Nie chodzi tu bowiem o zwyczajne pokazanie danych przedmiotów, o wykazanie ich wartości, zalet i techniki wytwórczej, ale także o pewne dane co do samej produkcji, jej rozmiarów, wartości, charakteru i t. d. Chodzi więc o materiał, któryby dał możność opracowania całokształtu wszystkich dziedzin produkcji.

Tym sposobem wystawa poniekąd odegra rolę organizacji statystyczno-informacyjnej. Wykaże ona na jakim poziomie technicznym stoją wszelkie gałęzie przemysłu, rzemiosł, rolnictwa i t. d.

W ten sposób organizację wystawy postanowiono na poziomie europejskim. To też nawet Europa nią się zainteresowała. Biorą w niej

udział dość liczni eksponenci zagraniczni, nadto ciekawymi cudzoziemcy zapowiadają zbiorowe wystawki.

Wystawa kijowska będzie tedy ze wszechmiar pożyteczna i byłby rzeczą wielce pożądaną, jaknajliczniejszy w niej udział naszego przemysłu, rolnictwa i rzemiosł. Niestety! Znamienną cechą naszą jest spóźnianie się we wszystkim. Tak się też stało i z wystawą kijowską. Dopiero w ostatniej chwili zaczęli się tu zgłaszać liczni wystawcy, kiedy już miejsca wcale nie było. Jesteśmy tedy mądrzy po szkodziu.

Zaznaczyć [w końcu musimy, że na czele wystawy kijowskiej, jako jej wice-prezes stoi człowiek bardzo energiczny, ruchliwy, rozumny i wielce ustosunkowany, A. hr. Tyszkiewicz. Jest on właściwie całą duszą wystawy, pracuje

wytrwale, bez wytchnienia i niemal każdą sprawę ośobiście załatwia.

Dla opieszłych nie wszystko jednak jest już stracone. Kto nie potrafił wziąć udziału w wystawie jako eksponent, ten może ją zwiedzić a niewątpliwie będzie miał tam rzadką sposobność nawiązania stosunków handlowych z rynkami pierwszorzędnymi, jak nie mniej będzie miał możność zdobycia środków orjentacji w stanie i położeniu różnych dziedzin przemysłu, z którymi nawiązanie stosunków może mieć doniosłe znaczenie ekonomiczne dla nas. Wszakże istnieją takie rozległe dziedziny, jak np. cukrownictwo, które się muszą posługiwać innymi gałęziami przemysłu metalurgicznego, rzemiosł i t. d. Takich gałęzi jest mnóstwo. Ich wspólna zależność jest wtedy tą korzystną podstawą w nawiązywaniu stosunków. *Z. Pietkiewicz.*



Teatr Polski. — „Lilije“.

Młody poeta, Ludwik Hieronim Morsztyn, sięgnąłszy po nieprzebrane skarby poezji ludowej, aby dobyć stamtąd klejnot, raz już przez największego poetę polskiego, Adama Mickiewicza do kształtu symetrii artystycznej doprowadzony, dotarł do potężnie bijącego źródła natchnień i napełnił tam czarę swych zamierzeń twórczych, napełnił — po brzegi. W „Liljach“ podjęta została nanowo praca koło stworzenia prawdziwego polskiego dramatu, który korzeniami swymi głęboko tkwiąc w duszy ludowej, z niej czerpałby najistotniejsze pierwiastki narodowe, wyodrębniające sztukę polską, z ogólnej bezosobowej szarzyzny i stanowiące jej niezniszczalne wartości indywidualne. Ludwik Hieronim Morsztyn poszedł tedy drogą, na której rozpalali wici Mickiewicz i Słowacki, Krasiński i Wyspiański — drogą uciążliwą i znojną, ale na niebosiężne szczyty wiodącą.

Powiada gdzieś Stendhal, że poeta, jest to człowiek, który obnosi wielkie zwierciadło po gościńcach zarojonych tłumem bohaterów i pospólstwa. Wzwierciadło dramatu narodowego, odbija się sam naród, z wyrazistością, uzależnioną od jakości lustra — a więc od jakości twór-

cy. To niewielkie lusterko p. Morsztyna, które oglądaliśmy w teatrze Polskim, jest przecież tak czyste, jak iza dziecka, a tak prawdziwe, jak sama rzeczywistość. Odgrywa się w niem wieczysta tragedia zbrodni i kary, pojęta w całej swej bezwzględnej nagości i prostocie. „Pani zabiła pana...“ Oto strofa, z której płynie czarna, groźna chmura, zbrojna w piorunne strzały sprawiedliwej kary. Sprawiedliwej? O, tak! Ani na chwilę nie wątpił o tem bezimienny autor piosenki ludowej, ani przez mgnienie oka *nie chciał* w to wątpić Morsztyn. Ocalił przez to spoistość i istic helleńską prostotę budowy swego dramatu i zdołał w zupełności dokonać swego dzieła. Gdyby pozwolił jednak przemówić własnej duszy, gdyby dał wolę gorącym porywom buntu, rodzącego się zawsze tam, gdzie duch ludzki wypowiada walkę Przeznaczeniu — stanąłby nieskończenie wyżej, niż to w „Liljach“ uczynił. — Morsztyn jest jeszcze młody i głęboko wierze, że kiedyś, jeżeli znowu podejmie nadludzki problem zbrodni i kary, zatrzyma się przed nim oko w oko, bez trwogi, aby stanąć do nierównej, ale prometejskiej walki.

J. Appenzlak.

Teatr na Dynasach. Dynasy zdobyły palmę pierwszeństwa w rzędzie miejsc, poświęconych zabawom letnim w sezonie bieżącym. Wspaniały, w uroczem

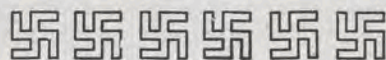
położeniu, teren zabaw, schludny i wygodny teatrzyk, obfite oświetlenie elektryczne, efektowna, w sutem obramowaniu drzew i krzewów estrada na wodzie — stanowią całość niezmiernie sympatyczną, walczącą pomysłowością urządzeń technicznych z urokiem powabów hojnej natury.

Teatrzyk na Dynasach zajęła w tym sezonie trupa farsowowodewilowa, nie zbyt liczna wprawdzie, ale za to umiejętnie zorganizowana i już zgrana dobrze.

Wybornie spędziliśmy wieczór na Dynasach, słuchając popularnej operetki Offenbacha „Beben“, w której w roli tytułowej rej wiodła pełna temperamentu i humoru, obdarzona ładnym głosem, p. Marja Droskowa. Obok niej wyróżnili się pp. Elertowiczowa, Miller, Winakiewicz.

W premierze ostatniej p. t. „Maharadza w Warszawie“, operetce, absolutnie bez treści i dowcipu, dzielnie się spisał cały zespół grających. Kostjomy bogate, wystawa nowa i efektowna, chóry więcej, niż dobre. A już na specjalny oklask zasługują p. Gogolińska i p. Brodelkiewicz, znakomici w tańcu kanadyjskim. Publiczność szczerze oklaskiwała wszystkich uczestników udatnego przedstawienia.

K.





Pułkownik Redl.

Najokropniejszą chorobą jest bezwątpienia gorączka złota. Kogo ogarnie febris aurea — zgubionym jest bez ratunku i nie go nie zdoła utrzymać na pochyłości w ciągłej pogoni za złotem. Korzystają z tego zarzą-



Alfred Redl.

dy wojskowe wszystkich państw dla zdobycia tajemnic wojskowych i administracyjnych mocarstw ościennych.

Pułkownik Redl, smutnej pamięci bohater wszech europejskiej afery szpiegowskiej, był typową ofiarą pożądania złota. Szef służby wywiadowej armji austriackiej, nieskazitelny, zda się, oficer-służbista, wypłacał agentom-wywiadowcom olbrzymie pensje, sięgające poważnej sumy 100,000 koron... Nagle ogarnęło go pragnienie posiadania na własność tak wielkich sum, chęć zapanowania nad złotem. Nie miał innego sposobu na zdobycie go jak zaprzedać się w służbę obcemu mocarstwu, to też uczynił to, może nie bez walki wewnętrznej.

„Działalność“ Redla była dla Austrii straszna. Musi ona obecnie zmieniać zupełnie wszystkie najtajniejsze zarządzenia wojenne, musi opracowywać nowe plany mobilizacyjne, musi reorganizować służbę kierowniczą armji. Z drugiej jednak strony być może, iż Redl uratował spokój europejski.

Brzmi to jak paradoks, lecz dzienniki francuskie podają ja-

ko fakt, że do wojny ogólnoeuropejskiej nie doszło dlatego tylko, iż państwa trójporozumienia wiedziały od Redla o gotowości Niemiec do poparcia Austrii.

Olbrzymie sumy, otrzymywane za swe nieczne rzemiosło, Redl tracił na wszelkiego rodzaju rozpustę i życie rozrzutne. Hulanki jego znane były szerokim kołom, nikt jednak nie śmiał go podejrzewać, mimo ostrzeżeń, aż przypadek wykrył jego działalność.

Koledzy oficerowie, nie chcąc plamić mundurów sprawą sądową i hańbiącym wyrokiem, podsunęli Redlowi broń, którą przeciął nią swego występłego życia.



Nestor redaktorów.

W pogodny wieczór wiosenny odszedł na wieczny spoczynek dobrze zasłużony krajowi, obcy prawie młodemu pokoleniom, nestor redaktorów warszawskich — Władysław Maleszewski.

Urodzony na Kujawach w 1842 r., kształcił się zmarły pod kierunkiem historyka Bartoszewicza i próbował sił twórczych w ubogiej wówczas dziedzinie powieści. W 1863 r. wydał pierwszą swą powieść p. t. „Dziecko Żmujdzi“ i wnet potem wszedł do składu redakcji „Tygodnika Ilustrowanego“, gdzie pracował czas niejaki, poczem, z chwilą otwarcia „Biesiady literackiej“ objął jej redakcję i trwał na stanowisku przez ćwierćwiecze, póki zmęczenie nie kazało mu się usunąć. Lecz pracy nie zaprzestał, gdyż do ostatniego niemal roku pomieszczał artykuły w „Słowie“ i „Kurjerze Warszawskim“.

Zmarły zaliczał się do pisarzy konserwatywnego obozu, beletrystyka jego należy do rodzaju, zwanego przez francuzów „literaturą białą“, a przez cały, długi okres działalności stał na straży religijnej etyki.

Maleszewski to jeden z ostatnich świadków przełomów duchowych, jakie przeżywaliśmy w ciągu ubiegłego ćwierćwiecza.

Leon Belmont i „Wolne słowo“.

Gdyby kto pragnął poznać najśmielszego publicystę polskiego, musiano by mu wskazać L. Belmonta. Jeżeli by przyszło wymienić najszczerze czasopismo, należałoby wskazać „Wolne Słowo“.

Wykształcony, a przytem niezwykle utalentowany literat, jakim jest Leon Belmont nigdy nie potrafi być banalnym, tak, że utwory jego czyta się zawsze z zajęciem, jakkolwiek niejednokrotnie mogą one drażnić przekonanie danego czytelnika.

Bezwzględność Belmonta naraziła go nieraz na represje ze strony władz, a nieliczenie się z warunkami doprowadziło do chronicznego niemal zatargu z przedstawicielami urzędu prasowego, co spowodowało częste zawieszanie pisma, a... sadzanie redaktora-autora. Mimo wszystkie trudności, Belmont doprowadził swe „Wolne słowo“ do jubileuszowego — dwuchsetnego numeru.

Nie podajemy zawartości tego numeru, kto ciekaw — niechaj sam przeczyta, notujemy jedynie fakt, jako znamienity objaw



Leo Belmont.

istnienia śmiałości obywatelskiej wypowiedzania swych własnych poglądów.

„Wolne Słowo“ prawdopodobnie przestanie istnieć, pożądanym byłoby jednak, aby Belmont znalazł inne pole do głoszenia swych oryginalnych zdań i paradoksów.

Wydawnictwo na czasie.

Wobec rozpoczynającego się sezonu wycieczek bardzo na czasie ukazało się nowe wydawnictwo p. t. „Krótki rys ratownictwa“, opracowane przez znanego lekarza, Józefa Zawadzkiego. Zawiera ono wskazówki jak należy sobie radzić przy wypadkach, przyczem tekst opracowany przystępnie, ilustruje wielką ilość rysunków. Dziełko to znaleźć się winno we wszystkich rękach, gdyż każdemu korzyść przynieść może.

Włoscy goście.

W poniedziałek i wtorek bawili w Warszawie przedstawiciele Włoch. Nie była to podróż dyplomatyczna, raczej turystyczna wycieczka gromadki przemysłowców, którzy postanowili w celach eksploracyjnych poznać „daleką północ“ i odważnie wyruszyli do Petersburga i Moskwy, zatrzymując się po drodze w Warszawie.

Zgotowano im urzędowo-serdeczne przyjęcie, wydano parę śniadań i obiadów, pokazano operetkę (nie mamy znać wartościowych teatrów) i wygłoszono wzajem szereg komplementów.

Niektóre pisma entuzjastycznie wyrażały obecnością włoskich gości, my notujemy jedynie fakt, wieiżąc z góry, że najserdeczniejsze nawet przyjęcie u nas zatrze się pod wrażeniem gości w stolicach Cesarstwa.

Dymisja Čuvaja.

Napozór niczem nadzwyczajnym nie jest ustąpienie ze służby nawet bardzo wysokiego urzędnika, lecz dymisja Edwarda Čuvaja, królewsko cesarskiego komisarza w Chorwacji ma ogromne znaczenie polityczne.

Zaprzyśięgli wróg Serbji i wszystkiego, cokolwiek ma wspólnego z ideą wielko-serbską, Čuvaj w ciągu półtorarocznych rządów swych odznaczył się jako gnębiel i ciemnieca myśli politycznej i ruchu społecznego. Rok temu czyniono nań zamach — bezskuteczny, on zaś wyprawił później jesienią i zimą istne orgje represji,



Edward Čuvaj.

skierowanych przeciw serbom, licznie rozszanym na południu monarchji habsburskiej

Doprowadził on do ostatecznego naprężenia stosunków z Serbją, to też dymisję jego powitać należy z westchnieniem ulgi, jako zapowiedź powrotu do kulturalniejszych warunków politycznych w Chorwacji.

Miecz i dyplomacja.

W przededniu nowej wojny. — Figle dyplomatyczne. — Na podstawie nastrojów ludności. — Zatarg serbsko-bułgarski. — Po czyjej stronie słuszność? — Zatargi narodowościowo w Austrii.

Przed kilku miesiącami, gdy wojska bułgarskie i serbskie ścierały się z turekami, — rozbrzmiały pierwsze głosy, że zwycięstwo słowian bałkańskich nad potęgą ottomańską będzie źródłem straszliwszej jeszcze wojny między Bułgarją a Serbją o Macedonję. Nie trzeba było wcale jakiegos nadzwyczajnego talentu proroczego, by to przewidzieć. Wojnę słowian z Turcją wywołała dyplomacja europejska; wywołuje.

Utworzenie związku bałkańskiego przeciw Turcji było figlem, jaki wyplatało trójporozu-

mienie trójprzymierzu, ściślej zaś mówiąc: Rosja — Austrii. Tę ostatnią drogę to kosztowało, bardzo drogo. Więc teraz usiłuje wszelkimi sposobami odplacić pięknem za nadobne i, pchnawszy związek do zabójczej wojny, unicestwić wszystko to, co przyniosła wojna zwycięska z Turcją.

Podstawy do przeprowadzenia tych planów nie zabrakło. Tkwią one i tkwiły od wieków w nastrojach narodów bałkańskich. Wszystkie one całą duszą nienawidzą tureków: na tej zasadzie oparło się stworzenie związku bałkańskiego.

Ale dawniejszą jeszcze, głębiej wrośniętą w duszę tych narodów, jest wzajemna między sobą nienawiść. Ona to wtrąciła półwysep bałkański w jarzmo tureckie. Wie o tem dobrze ludowa pieśń bułgarów; matki serbskie śpiewają dzieciom swym u kołyski, jak szkodliwa jest niezgoda między narodami. A jednak nienawiść ta istnieje — i wystarcza lada podmuch, aby tlejące zarzewie rozgorzało w wielki, niszczący płomień.

Podmuchał ten poszedł od strony Wiednia. Dyplomacja Austriacka z jednej strony pokrzyżowała zamiary serbów dotarcia do Adrjatyku i uniemożliwiła ich wykonanie; — z drugiej — popierała zręcznie pretensje bułgarskie, zresztą usprawiedliwione.

Kto ma słuszność w zatargu serbsko-bułgarskim? — trudno odpowiedzieć na to. Przed wojną zawarto traktat, w którym między innymi przewidziano, że Macedonja w znacznej swej części przypadnie bułgarom, reszta zaś dostanie się Serbji. Podczas wojny bułgarzy takzajęci byli walką z turekami, że o Macedonji nie myśleli, — bo myśleć nie mogli. Właściwie walka toczyła się tylko między bułgarami a turekami. Serbowie, greccy, — szli naprzód i sto-

Kufry, Walizki, Torby, Nessesery, Galanterja skórzana



E. Unierzyski

Warszawa, Chmielna 3. Telefon 188-24.

sunkowo tanim kosztem krwi zajmowali obszerne terytorja. Nie zajęliby ich, gdyby nie bohaterkie męstwo bułgarów.

Dzięki temu Serbja zajęła Macedonję właśnie w chwili, gdy bułgarzy rozstrzygnęli wojnę na korzyść związku bałkańskiemu. Bułgarja nie troszczyła się o to; podział przewidziany był z góry i określony w traktacie.

Ale traktat nie przewidział, że Austrja nie dopuści Serbji do morza Adrjatyckiego. A Serbja musi mieć wyjście na morze, bo inaczej — jak to mówią — „udusi się“ w ciasnych granicach między Austrją a Bułgarją, które każdej chwili mogą odciąć ją od świata i ogłodzić. Odsunięta od Adrjatyku, chce więc Serbja zapewnić sobie drogę do morza Egejskiego i dla tego odsądza Bułgarję od Monastyru oraz od prawego brzegu rzeki Wardaru.

Bułgarzy pretensje swe do tego terytorjum opierają na zawartym przed wojną traktacie oraz na fakcie, że na terytorjum tem w znacznej liczbie, obok serbów i albańczyków, mieszkają ich bułgarscy rodacy. Serbowie, przynagleni potrzebą, dowodzą, że najważniejsze są te traktaty, które krwią się pisze: Serbja zdobyła swoim wojskiem Macedonję, więc ją zachowa; bułgarzy niech trzymają to, co sami — a nawet przy pomocy serbów zdobyli. Co zaś do względów etnograficznych, Serbja dowodzi, że dawniej na polach Macedońskich przeważnie mieszkali serbowie i tylko skutkiem fatalnej gospodarki tureckiej wyniszczeni w pewnej części zostali przez albańczyków i przez bułgarów. Ale i ta liczba Serbów, jaka dziś zamieszkuje Macedonję, wystarcza do ugruntowania pretensji serbskich.

Tak mówią serbowie. Ze swojego punktu widzenia mają słusność. W tego rodzaju zresztą wypadkach potrzeba, konieczność — idą przed słusnością. Smutne to, ale prawdziwe.

Różnicę zdań między Serbją a Bułgarją wyrówna chyba tylko wojna. Trudno przypuścić, aby dało się jej uniknąć. I świat znów będzie mieć widowisko straszne i przysłuchiwać się bę-

dzie okropnej muzyce armat i karabinów.

Jedna tylko Austrja cieszy się tem widowiskiem. Związek bałkański mógł stać się dla niej groźną potęgą; dziś związek ten rozpada się w gruzy, — bułgarzy i serbowie niszczą się wzajemnie.

Dla Austrji to ratunek, zwłaszcza w chwili obecnej, gdy jej organizm, zatruty wewnątrz zatargami narodowościowymi, przeżywa wstrząśnienie niebezpieczne.

Galicja znajduje się w przededniu walki wyborczej, najostrejszej, jaką kiedykolwiek przechodziła, bo rozwijającej się na gruncie zatargu między polakami a rusinami.

W Czechach zatarg z niem-

cami zatamował niemal zupełnie bieg życia publicznego. W kasach organów samorządowych zabrakło pieniędzy, a zatarg nie pozwala na uchwalenie podatków.

A najgorzej na Węgrzech. Mniejszość madziarska rządzi krajem i w najstraszniejszy sposób gwałci najzupełniej uprawnione żądania innych narodowości. Węgry zamieszkuje, a w pierwszym rządzie Słowaków. Opozycja sejmowa chce położyć kres tym rządóm. I dochodzi aż do tego, że w sejmie krew się leje i straszne rozgrywają się sceny.

Uwagę od nich odwraca widowisko bałkańskie. Więc rząd węgierski podsyca je wszelkimi sposobami. (m. h.)



Papież Pius X, po powrocie do zdrowia.

Wesołki perskie.

(z perskiego).

BOGACZ I POETA.

Chudziak — poeta przyszedł do bogacza,
i choć niższego odeń stanowiska
siadł przy nim zbliska.
Bogacz spochmurniał, że tak mu uwłacza
i spytał kwaśno:

— Powiedz, przyjacielu,
jakie granice od osłów was dzielą?
Na to poeta, co tuż przy nim siedział:
— Teraz, naprzykład, zbyt mały jest przedział...

PRZYJACIEL — SKNERA.

Przyjaciela ktoś miał w sknerze...
Wyjeżdżając, rzekł mu szczerze:
— Ku mi, proszę, gdzie na rynku
jaki pierścień w upominku,
szczęście będzie to ogromne,
zerk na palec! — ciebie wspomnę...
Na to sknera nie zwlekając:
— Wiesz mam sposób, by nie dając
także zostać ci w pamięci
przy twej chęci:
aby o mnie mieć wspomnienia,
patrz na palec bez pierścienia.

MŁODZIAN I NIEWIASTA.

Szła niewiasta... Wtem ją zoczy
młodzian rzeźki i ochoczy,
a że miała twarz niczego,
więc on za nią myk gęsiego.
— Czego chcesz? — niewiasta pyta.
— Zakochałem się i kwita!
— E, daj pokój, spójrz, tam dalej
idzie młoda, piękna dziewa,
jej urodę każdy chwali
i opiewa.

Młodzian śmignął znów, jak raca,
lecz po chwili zły powraca:
— Brzydka, brr, jak sowa nocą,
zwiadłś mnie i powiedz, poco?
A niewiasta tak mu na to:
— Kłam za kłamstwo był zaplątą,
prawdą-ż był miłosny szal,
skoroś do niej pobiegł wewal?

LEK NA OCZY.

Przyszedł chory o poradę,
twarz, jak płótno, wargi blade...
— Wskaż, doktorze, jakie leki,
bom już kresu niedaleki,
poskręcało mi jelita.
— A coś jadt? — eskulap pyta.
— Chleb, lecz w chlebie był zakalec...
— Musiał ci w żołądku zaledz —
na to sługa medycyny —
i... dla oczu radzi płyny.
— A to poco? dobre sobie!
cóż ma wzrok, przy mej chorobie?
Lekarz:
— Oczy leczyć trzeba,
byś z zakalcem nie ćpał chleba!

TEJMUR KULAWY i SZCZĘŚCIE.

Gdy do kraju Hindu wszedł Tejmur Kulawy
muzykantów kazał zwołać dla zabawy,
albowiem był słyszał, że są wielcy mistrze,
i każdy dobywa tony co najczystsze.
Jeden zwłaszcza grajek, ślepiec, na Tejmurze
swą muzyką wywarł wrażenie tak duże,
iż sam wielki władca spytał, jak się zowie:
— Nazywam się Szczęście! — ślepiec mu odpowie:
Rozeźmiał się Tejmur i spytał go dalej:
— Szczęściem się nazywać ślepiec może zali?
A grajek:
— Gdy Szczęście ślepeby nie było,
czy do kulawego kiedyby wchodziło?

Remigjusz Kwiatkowski.

PREMJUM ARTYSTYCZNE „ZŁOTEGO ROGU“.

W dniu 15-ym czerwca r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, przyznanie szczęśliwym wybrańcom losu z pośród naszych półrocznych i rocznych prenumeratorów, artystycznego premjum za kwiecień r. b., na które składają się następujące obrazy:

- 1) F. Szewczyka — „Ucieczka bandytów“.
- 2) St. Drzewiecki — „Zalotnica“.
- 3) E. Pietkiewicz — „Krajobraz“.
- 4) St. Filipkiewicz — „Studjum“.

Uwaga. Prenumeratorowie, których załatwiają księgarnie a nie nasza administracja bezpośrednio, pragnąc uczestniczyć w losowaniu, winni przed terminem, za pośrednictwem odnośnych księgarni, ujawniać swoje nazwiska i adresy.



Femina

Doktorat nauk domowych.

Niema bodaj kraju bardziej uposażonego w wyższe uczelnie, jak Stany Zjednoczone. Istnieje tam ogółem 450 uniwersytetów i kolegów, przyczem tę ostatnią nazwę noszą uczelnie ogólnokształcących, nie podzielonych na fachowe wydziały.

Każdy Stan posiada własny, rządowy uniwersytet, pozatem jednak wolno wszystkim otwierać prywatne uczelnie, to też namnożyło się tam sporo czysto spekulacyjnych zakładów, które wprost handlują dyplomami. Ponieważ rząd nie wgląda w te sprawy, społeczeństwo zatem samo sprawuje nadzór nad uniwersytetami.

Utworzono mianowicie dwie silne organizacje — męską pod nazwą University Association i kobiecą — Association of Collegiate Columnae, do których wstępują kończący wyższy zakład naukowy. Stowarzyszenia te uznają bardzo ograniczoną ilość uczelni za stojące na dość wysokim poziomie, gdyż zaledwie 24 uniwersytety i 35 kolegów, inne zaś zakłady muszą wykazywać rok rocznie utrzymanie się na równej z tamtymi stopie.

I nic dziwnego, że amerykańskie dbają o opinię swych uniwersytetów. Niektóre z nich mają długie lata tradycji. Harvard University powsta w 1636 r., w Yale założono go 1701 r., w Princeton 1746 r.

Najpoważniejsze nawet i najstarsze uczelnie amerykańskie stoją w większości otworem dla kobiet, gdyż z ogólnej liczby 450 zakładów 321 przyjmuje słuchaczki narówni z mężczyznami, udzielając im dyplomów i stopni naukowych, tak że dwa lata temu, naprzykład, mężczyzn studentów było 65,667, studentek zaś 33198.

Jeszcze żadna kobieta europejska nie marzyła może o wstąpieniu na uniwersytet gdy amerykanki uczęszczały na wykłady. Oberlin Collegiate Institute zaczął przyjmować kobiety w 1833 r., uniwersytet Stanu Utah w 1850 r. i t. d., więc wyższe wykształcenie kobiece ma

już w Ameryce pewną tradycję i wytworzyło grupy wykładow specjalnie kobiecych.

Wszystkie uczelnie amerykańskie prowadzą wykłady w ten sposób, że słuchacza obowiązuje zasadnicza grupa przedmiotów, z których zdawać musi egzaminy, pozatem zaś program i zakres studjów pozostaje zupełnie dowolny. Otóż niektóre uniwersytety utworzyły bursy specjalne „nauk domowych“.

W uniwersytecie w Chicago jako obowiązkowe na wydziale „nauk domowych“ uznano następujące przedmioty: 1) higiena osobista i społeczna, 2) biologia i bakterologia, 3) prawo, 4) działalność kobieca w przemyśle i handlu, 5) wiedza rodzinna (znaczenie rodziny ekonomiczne, społeczne i prawne).

Columbia University w Nowym Yorku posunął się jeszcze dalej, układając ściśle zupełnie program nauk na wydziale „nauk domowych“. Kurs trwa trzy lata. W pierwszym roku słuchaczki studjują: 1) higieniczne urządzenie kuchni i naczyń, 2) fizjologję żywienia, 3) działanie narkotyków, 4) klasyfikację środków spożywczych, 5) przygotowywanie pożywienia, 6) konserwację, 7) rozpoznawanie falsyfikatów, 8) umiejętność kupna, 9) ogólne towaroznawstwo i 10) urządzenie jadalni, nakrycie, podanie, obowiązki pani domu.

Drugi rok obejmuje: 1) urządzenie domu, 2) kwestje sanitarne (woda, kanalizacja, opał, światło), 3) umeblowanie ze szczególnem uwzględnieniem stylu, 4) higiena osobista, 5) roboty kobiece.

W trzecim roku słuchaczki przechodzą: 1) higienę społeczną, 2) działalność filantropijną, 3) chronomję domową, 4) socjologję, 5) psychologję, 6) pielęgniarstwo, 7) metody nauczania elementarnego.

Po ukończeniu kursów i zdaniu odnośnych egzaminów, słuchaczki otrzymują dyplom, przyczem udzielane zostają stopnie magistra i do-

ktora „ nauk domowych“. Dziwnie brzmi dla naszego ucha tytuł „doktor nauk domowych“, należy jednak przyznać Amerykanom, że jest to jeden z najszcześniejszych pomysłów.

Najważniejszą gałąź działalności kobiecej — dom i rodzina traktowane zawsze były po macoszemu i większość młodych kobiet wychodząc zamaż, nie mają żadnego pojęcia o obowiązkach domowych. Naukowe zaś postawienie codziennych, lecz przez to właśnie ogromnie doniosłych kwestji, wielce się przyczynia do podniesienia wartości życia rodzinnego.

O ile wiem, Europa nie posiada dotychczas ani jednej uczelni, odpowiadającej kursom uniwersyteckim „ nauk domowych“, gdyż wszystkie szkoły gospodarskie traktują sprawę bardzo pobieżnie, lub obejmują niektóre tylko działy. U nas zwłaszcza bardzo by się przydał zakład wzorowany na amerykańskich uniwersytetach a można być pewnym, że przeciwników nie znalazłby w żadnej sferze, czy grupie społecznej.

Może zatem w niedługiej przyszłości i Europa będzie miała „doktorki nauk domowych“.

(mwr.)

LE DESHABILÉ — NEGLIŻ.

Moda — i wszystko co ma z nią styczność... a cóż nie ma w kobiecym świecie styczności z modą... przybiera w swej stolicy, to jest w Paryżu, coraz to większe rozmiary, zatacza coraz szersze kręgi i coraz bardziej zajmuje ogół. I oto znowu jedna z gwiazd scenicznych paryskich, wygłosiła tylko co, tak zwaną *conférence*, na temat *Le Deshabillé* czyli *negliż*. W sali znalazły się tłumy przeważnie kobiece, choć i płeć brzydka była licznie i wytwornie reprezentowana. Pani *Dorgère* demonstrowała swoją pogadankę na żywych modelach, manekinach, w liczbie siedmiu, notabene bardzo ładnych młodych kobiet, z których każda była w innym *negliżu* przebijającym pięknym i luksusowym.

Negliż — to królestwo batystów, haftów i koronek — powiększone, jak obecnie, gazami jedwabnymi, japońskimi cudnymi tkaninami, szarfami tkanami pajęczymi i t. p.

Negliż, to strój oczywiście czysto domowy, przeznaczony wyłącznie dla najbliższych. Przywdziewamy go po zdjęciu oficjalnych szat naszych — oddychamy w nim całą pierś — bo negliż musi już z natury rzeczy wykluczać wszelki przymus, wszelkie skrepowanie. Żadna na świecie toaleta nie może się równać z wdziękiem negliżu wogóle, a negliżu letniego w szczególności — bo czyż może być coś bardziej uroczego, jak ładna, kształtna postać kobieca

w przysłonięciu miękkich wytwornych przezroczy!.. Oczywiście, w tem jak we wszystkim, zbytek przejawia się olbrzymi *ale*... i jak w tym razie jest to *ale* bardzo szczęśliwe — negliż letni, może być śliczny a bardzo skromny, Trochę batystu trochę nie drogich haftów lub koronek, ładny krój szlafrocza lub kimonka — i oto całość elegancka, a nie droga.

Wracając do żywych manekinów ilustrujących konferencję *pani Dorgère*, to należy przyznać, że były one popro-

stu jakimś niezwykle zjawiskiem, pociągającym i przykuwającym wzrok. Najprzód kobiety prześliczne o różnych typach, choć wszystkie paryżanki — w negliżach pochodzących z najpierwszych magazynów t. zw. *de blanc et lingerie* paryskich. Był tam typ Japonki w precudnym *kimono* z różowej *Crêpe de Chine* z haftami wykończonymi z białej peli — a przedstawiającymi najcudniejsze olbrzymie złocone, kimono podbite blado lila wymarszczoną krepa. Do tego japońskie pantofelki, włożone na gołe stopy. Typ *turczynki* w odpowiednim stroju — ale oczywiście nie w szarawarach, zastąpionych długą marszczoną tiuniką i szerokim tak bardzo modnym teraz pasie „bayadère“ okręconym do kołabioder, pończoszki białe gazowe — tureckie pantofelki. Negliż t. zw. *egipski* w tymże stylu z przezroczonego jedwabiu assyryjskiego, spadający w długich prostych fałdach z odpowiednimi ozdobami. Do każdego z tych negliżów właściwe przysłonięcie włosów, konieczne przez obecną modę — do negliżu wymagane.

Obok tych stylowych negliżów widniały i zwykłe, wykończone z przedziwnym gustem a stanowiących całości idealne. Podstawą ich, batyst *Linon* i koronki cienkie, głównie śliczne w tym celu *Valenciennes*, jakaś przepaska z *Crêpe de Chine*, jakieś przewleczenie ze wstążki — kokor da — hacik i oto wszyst-



Negliż.

ko. Na głowie modne czepeczki, zakrywające szczerlnie włosy, czoło a nawet, boki twarzy. Jest to jeden z licznych kaprysów mody — wprowadzony zapewne przez jakąś modną damę z bardzo małemi włosami. Kobieta posiadająca piękne włosy, powinna je rozczesać i puścić wolno — przy negliżu. Nic piękniej nie ozdobi całej postaci.

Marcèle.

MODNE OBUCIE.

Trudno... stało się... więc pogodzić się z tem trzeba. Moda obecna, rozciągnęła swoje wszechwładne panowanie, nie tylko odnośnie do sukien, płaszczów, kapeluszy naszych ale i co do obuć — czyli do przystrojenia naszych nóżek. Obecny krój spódnic wpłynął znamienne na ten toaletowy szczegół — odsłonięcie stopy na ulicy do kostek a w salonach do pół łydki nie raz stworzyło nowy dział mody, wysuwając na plan pierwszy, pozostające czas długi w dyskretnej ukryciu nóżki.

Inicjatorami tej mody musiały być damy posiadające, śliczne stopy i chcące je światu pokazać, inaczej przecie być nie mogło, bo dla kobiet nie posiadających pięknych nóg — moda ta, jest nielitościwa.

Obecnie każda nieledwie tualeta a przynajmniej rodzaj tualety — ma inne wymagania co do obuć. To też sztuka szewka nigdy się w takim rozwoju nie znajdowała i nie wiodła swych przedstawicieli do takich tryumfów no i... majątków. Jeżeli kiedy, to teraz — panowie majstrowie szewcy powinni zostać wszyscy — krociołami panami. Oczywiście jest tu mowa o tych wybranych, których pieczy powierzono tak zwane *Chaussure de luxe* czyli *obuwie zbytku*. Wytworna, modna pani, zmieniająca, przypuszczam 3—4 razy dziennie toaletę, co się często trafia osobom *modern style*, zwłaszcza latem w miejscowościach kąpielowych, musi wraz z suknią zmienić i obucie. I tak: trzewiki sportowe n. p. lawn tenisowe, następnie żółte amerykańskie na ranny dłuższy spacer, następnie do toalety popołudniowo-obiadowej

już eleganckie t. z. *sandaless*, sandaiki z cieniuchnej skórki lub atlasu, i znowu wieczorem na raut lub taneczne zebranie, tak zwane *Carnot* atlasowe białe lub kolorem do toalety za-

becnie, zapewniających swym kształtem większą wygodę od tych pływających pantofelków, na wysokich obcasach, w których nie tylko tańczyć, ale nawet chodzić nie sposób. Obuwie



Modne obuwie.

stosowane, z wybrylantowanemi obcasami i takąż klamerką. Były prezydent Rzeczypospolitej, francuzkiej, był wielkim elegantem i choć nie nosił brylantów na obcasach, ale dbał o wykwiń obuwia, nosił trzewiki zbliżone do noszonych o-

„*Carnot*“ jest ostatnim słowem elegancji. Do toalet balowych noszą tak zwane *Koturny*, ze starożytnych brokateli — ozdobiane sznurkami brylantów... Oto jest repertuar toaletowy — naszych stóp.

Marcèle.

ROBOTA KAPELUSZA.

Materiały używane obecnie na kapelusze są tak leciuchne, przezroczone, że w wielu razach zastępują słomę. Jak atlas zastąpił aksamit tak z czasem zamieniono go na materiał zwany *crêpe de chine*, który w ogóle odgrywa w toalecie naszej obecnej wielką rolę. Oprócz

tęgo, stosując się do terażniejszych gustów, słoma przybrała nowy wygląd, imituje materiały, swemi oryginalnemi zestawieniami.

Kapelusz, którego rycinę dołączamy, a który przy zręczności i dobrej woli samej wykonać można, ma kształt obec-

nie ulubiony, to jest mała, okrągła główkę, i nie wielkie rondo—zachodzi głęboko na głowę, obchodzi się bez szpilek. Rondo jest zręcznie wygięte i podniesione, przybrany jest dwoma pięknymi paradyzami, modnie, fantastycznie upiętymi.

Do wykonania tego kapelusza, można użyć ładnej słomy na główkę, rondo zaś musi być obciążone wybranym materiałem. W braku luksusowych paradyzów, można przybrać kapelusz jakąś zręczną, niedrogą fantazją z piór kogucich, bardzo w tym celu używanych.

Z odpowiedniego materiału zwanego kapeluszą *merla* trzeba wykonać formę, której należy nadać następujące wymiary: *Na rondo*: obwód głowy 52 cent. — przód 10 centymetrów — pomiędzy przodem a stroną prawą 10 cent. Strona prawa 10 cent.—pomiędzy stroną prawą a tyłem 11 cent. Tył 11 cent.—pomiędzy tyłem a stroną lewą 11 cent. Strona lewa 11 — pomiędzy stroną lewą a przodem 10 cent. Brzeg zewnętrzny 90 centym.

Rondo się obszywa przy obwodzie głowy i na brzegu średniej grubości drucikiem, zabezpieczającym od wyjścia z fasonu, następnie obciąga go się materiałem koloru *violine* (bladło fioletowy) pokrywającym rondo z wierzchu i ze spodu—Materiałem doskonale odpowiadającym swemu celowi — jest *crêpe de chine*.

Bierze się pas z tegoż materiału, o wymiarze 92 centymetrów długości a 22 szerokości, okala się nim brzeg ronda i marszczy się cały materiał drobno w ten sposób, by długość została zmniejszona do 52 centymetrów, czyli do wymiaru obwodu głowy — nadto 2 centymetry.

Układa się równo nadmar-

szony materiał tak, aby marszczki wychodziły drobnutkie i regularne i przyszywa się to zmarszczenie przy obwodzie głowy, uważając, by jeden brzeg materiału zachodził ściśle na



drugi, szycie to musi być skutecznie z całą akuracją, gdyż bardzo wpływa na ładny wygląd całości.

Następnie wykonywa się główkę. W tym celu bierze się materiał zwany *tulle de coton* (bawełniany tiul) biorąc go podwójnie, i nadając mu następujące wymiary:

U podstawie ronda 67 centymetr. Obwód główki od góry 60 cent. Wysokość główki 9 cent. Główka w ten sposób wykończona powinna od przodu do tyłu mieć 35 centymetrów, mierząc od podstawy ze stron obu kapelusza. W ten sposób przy tym kapeluszu unika się roboty siatki drucianej, służącej zwykle za podstawę główce, zastąpić ją można podkładką z me-

ri wziętej podwójnie, o wymiarze około 40 centymetrów kwadratowych. Trzeba utworzyć kilka składek u podstawy główki, której wierzch musi pozostać pięknie, równo zaokrąglonym, o wymiarze obwodu 60 centym.

Jeżeli główka ma być pokryta materiałem—to zadanie bardzo łatwe. Należy wziąć kawałek materiału, mający 40 centymetrów kwadratowych. Kładzie go się gładko na wierzchołku główki i układa się równo przy podstawie około ronda, starając się, by faldki były jak najregularniejsze, brzegi trzeba przyciąć i ładnie zakończyć, chcąc

pokrycie główki wykonać ze słomy, ma się więcej zachodu, bo trzeba słomę (najlepiej jedwabną — *tagal*) równiutko zeszywać i fasonować, co wymaga specjalnej, drewnianej deseczki — ładniej wygląda słoma pleciona w różnych kierunkach, prostym, podłużnym i ukośnym. Z początku przedstawia to pewną trudność—ale szybko przychodzi wprawa, wszak w pracowniach kapeluszy,

robią to t. zw. *podręczne*, a więc prawie dzieci. Mając już przygotowaną słomę, postępuje się z nią tak samo jak z materiałem, przytwierdza się ją równo do główki, którą się następnie przyszywa do ronda.

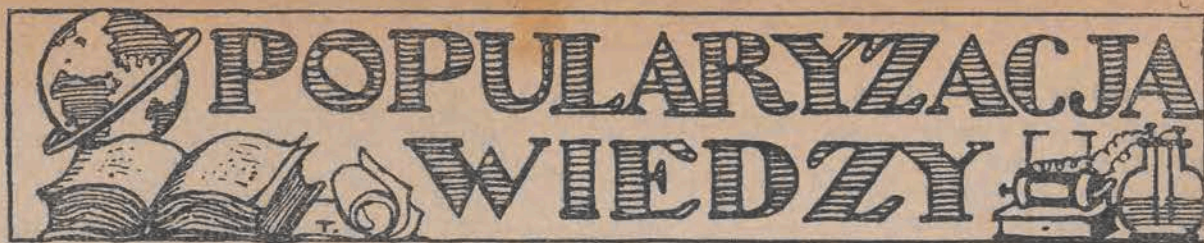
Przytwierdzenie główki do ronda, trzeba przykryć zręcznie uplisowanym materiałem i wtedy przytwierdzić paradyzy lub fantazję, według upodobania, wyżej lub niżej—na boku lub z tyłu, nawet na samym przodzie kapelusza — to już zależy od gustu, a szczególnie od tego, jak komu do twarzy. Wygięcie kapelusza i przypięcie przybrania, trzeba zawsze skutecznie na własnej osobie—stosując się do rodzaju twarzy i sposobu uczesania. *Marcèle.*

Amerykanki a rozwody. Klub feministek przedstawił nowemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych *Wilsonowi* podanie, o wyznaczenie komisji złożonej wyłącznie z kobiet, która przedstawiła rządowi projekt ułatwiający kobietom utrzymanie

rozwodów. Wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych usta wy prawne zmieniają się w miarę miejscowości tak, że w niektórych stanach formalności rozwodowe są zupełnie inne i o wiele prostsze aniżeli w sąsiednich — Otóż chodzi o to, by

we wszystkich Stanach Zjednoczonych zapanowało co do rozwodu prawo jedno i oczywiście takie, któreby załatwiało sprawy rozwodowe z możliwą — prawdziwie amerykańską szybkością tak naprzykład... 70 kilometrów na godzinę!..

POPULARYZACJA WIEDZY



Z postępów wiedzy i pracy.

2)

ROZWÓJ EMBRJOLOGJI.

W parę lat po zjawieniu się pracy Baera, Remack zajął się ściśle zbadaniem roli, jaką odgrywają rozmaite listki w rozwoju różnych organów. Po zastosowaniu epigenetyki do komórek i tkanek, rozwijających się z listków, Remack stworzył podstawę dla *histogenezy* (t. j. nauki o zarodkowym rozwoju tkanki) i zwrócił uwagę na specyficzność blastodermowych listków. Pojęcie specyficzności oznacza, iż histologiczne pierwiastki (t. j. pierwiastki tkanek) posiadające taki sam charakter, zawsze pochodzą od jednego, wspólnego listka; w ten sposób nerwowe pierwiastki jakiegokolwiek bądź narządu zawsze pochodzą z zewnętrznego listka, mięsne i tkanka łączna z listka środkowego, czyli *mesodermi*, a wydzielające i pochłaniające komórki — z listka wewnętrznego. Pojęcie specyficzności wynika z pojęcia homologiczności listków blastodermi (patrz № 23 „Złotego Rogu“).

Bardzo ważnym wynikiem badań Baera była jego teoria o organicznych typach. Zgadzał się, że nie wszystkie zwierzęta rozwijają się w sposób jednakowy. Opierając się na tem, przyjął on cztery typy, odpowiadające czterem głównym gatunkom świata zwierzęcego, które przedtem jeszcze ustanowił *Cuvier* na zasadzie danych anatomji porównawczej. Oto owe, cztery typy: kręgowce, członkowate, mięczaki i promieniaki. Baer dowiódł, że rozwój, zaczynający się od jajka u czterech powyższych typów, przechodzi różne w swej istocie fazy, że kolejny rząd zarodkowych postaci jednakowy jest u wszystkich zwierząt tego samego typu, ale niepodobny do siebie u typów różnych. W zarodku każdego typu zjawiają się przedewszystkiem najogólniejsze cechy, t. j. cechy typu, a potem cechy gromady, gatunku, rodziny i — okazu.

Dalsze postępy embriologii związane są z nazwiskiem znakomitego rosyjskiego uczonego —

Kowalewskiego. Jego świetne dociekania w kwestji rozwoju zbadanych przezeń zwierząt bezkręgowych dowiodły, że narządy tych zwierząt, tak samo jak narządy kręgowców, tworzą się z listków blastodermi i że listki te u kręgowców i bezkręgowców są homologiczne. Kowalewski skonstatował, że u kręgowców, jako rezultat podziału jajka powstaje pęcherzyk, którego ścianki tworzą przylegające do siebie komórki, prócz tego zauważył, że jedna ścianka tego pęcherzyka zaczyna się wgłębiać i tworzy coś w rodzaju kielicha, składającego się z dwóch listków. Ten poczwarkowaty kształt, Kowalewski obserwował u lancetnika i u obleńców i dowiódł, że najniższe zwierzę bezkręgowce i najwyższy kręgowiec w początkowym swym rozwoju są prawie identyczni. Na podstawie prac Kowalewskiego, jak również swych własnych badań nad embriologją gąbek, uczony *Heckel* dał nowe wyjaśnienie pierwszych faz rozwoju kręgowców, zaobserwowanych przez swych poprzedników i wyraził przypuszczenie, że poczwarka w kształcie kielicha, odkryta przez Kowalewskiego, powinna być rozpatrywana jako zasadnicza postać, wspólna wszystkim wielokomórkowym, zwierzęcym organizmom, poczynając od gąbki i kończąc na człowieku. *Heckel* poszedł jeszcze dalej i przypuścił, że wszystkie zwierzęta, za wyjątkiem najprostszych t. j. jednokomórkowych, w rzeczywistości pochodzą z jednej, ogólnej, ojczystej formy, obecnie już nieistniejącej, która pod względem swej anatomicznej budowy identyczna jest z ową poczwarką w kształcie kielicha; formę tę nazwał *Gastra*.

Aby zrozumieć w jaki sposób *Haeckel* doszedł do tej teorii, przedewszystkiem należy sobie uprzytomnić głęboki wpływ, jaki miała teoria ewolucji na rozwój nauk biologicznych. Na początku ubiegłego stulecia naturaliści mniemali, iż cały szereg zwierzęcych form można wyobrazić w kształcie schodów, w których każdy stopień oznaczający określone zwierzę, znajduje się wyżej, niż poprzedni. Sądziłi oni, że każde zwierzę w rozwoju swym przechodzi fazy odpowiadające dojrzałym formom zwierząt, stojących na niższym od niego, szczeblu.

(d. c. n.)

S. Dziedziński.



Robotnicy wynalazcami.

Jeżeli przebiegniemy myślą historję rozmaitych wynalazków, już na pierwszy rzut oka przekonamy się, że bardzo wiele z nich zawdzięcza swe powstanie robotnikom. Niedawno, były zecer, Moreau wynalazł przyrząd, rozwiązujący—jak się zdaje—problem automatycznej równowagi aparatów lotniczych. Próby dokonane przez francuskie ministerjum wojny, miały dać pomyślne rezultaty.

Cofnijmy się teraz w przeszłość.

Mydło wynalazła zwykła sobie kobieta z gminu w Gawnie. Aby prać bieliznę majątkom, przybyła na statek, naładowany olejem. Zlarzyło się przypadkiem w czasie prania, że woda zgotowana z sodą zcięła się z bielizną, przesiąkniętą tłuszczem. Mydło było wynalezione.

Automatyczny wentyl przy maszynach parowych wynalazł młody chłopiec, dziecko jeszcze, Aumphry Pottea. Zatrudniony jako pomocnik przy maszynie, miał za zadanie odkręcać i przykręcać kurki, doprowadzające wodę do kotła. Tymczasem pewnego razu usłyszał z ulicy dochodzące go odgłosy wesołej zabawy kolegów. Aby mógł pójść się bawić, począł przemyślać, jakby maszynę zostawić bez dozoru. Wkrótce dostrzegł, że istnieje pewna łączność między położeniem obu kurków a tłokiem maszyny. Gdy tłok był u góry, kurek musiał być otwarty i przeciwnie. Otóż przywiązał kurki do tłoka zapomocą sznura, a gdy funkcjonowały nienagannie, poszedł bawić się kolegami. Wentyl automatyczny był gotów.

Bibuła zawdzięcza swój początek zapomnieniu robotnika w angielskiej fabryce papieru. Przy mieszaniu papki, zapomniał dolać do niej kleju. Właściciel fabryki był wściekły; pokazało się jednak, że „nieudany“ papier posiada własność wyciągania atramentu, nie zalewając

pisma. Odtąd fabryka ta wyrabiać zaczęła wyłącznie bibułę.

Kobalt błękit, który dzisiaj tak wybitną rolę odgrywa we fabrykacji szkła wynalazł saski robotnik, mieszając zwykły kobalt ze szkłem.

Wynalazek glinki porcelanowej, kaolinu przypadł w udziale pewnemu robotnikowi, jakkolwiek zużytkował go pierwszy Bötticher. Służący Böttichera kupiwszy u kramarza pakiet mączki pudrowej, przekonał się, że jest ona znacznie cięższa od zwykłej, na co zwrócił uwagę swego pana. Ten śledząc doszedł, iż kowal Schnor, odkrywca przypadkiem biały pył w zagłębieniu skalnym, wpadł na myśl zastąpienia nim drogiej mączki ryżowej. Bötticher przeprowadziwszy analizę tej ziemi, przekonał się, że jest ona czystą gliną porcelanową i przystąpił do fabrykacji porcelany.

Również i odkrycie barometru pośrednio jest zasługą robotnika, florentyńskiego ogrodnika. Urządził on u siebie pompę, z bardzo długą rurą i przekonał się, że w niej woda nigdy nie chciała wznieść się wyżej, jak na 10 m. czyli 32 stopy paryskie. Gdy wszystkie usiłowania nie dały rezultatu, zapytał o przyczynę tego słynnego fizyka Galileusza.

Uczony, żyjący w czasie, kiedy nie znano jeszcze wagi powietrza i nie wiedziano nic o ciśnieniu powietrza, sam był tem zdziwiony. Podjął próby, które uczniów jego Torricellego i Viviani'ego doprowadziły do odkrycia barometru.

Temperatura gwiazd i najzimniejsze słońce.

Młody fizyk paryski, profesor Norman, który wsławił się już studjami nad ciepłotą, ogłasza ciekawe wyniki swoich nowych badań. Przy pomocy pyroskopu bardzo prostej budowy, zmierzył temperaturę sześćdziesięciu gwiazd. I któżby z grona profesorów przypuścił, że do naj-

mniej gorących ciał niebieskich należy—słońce. Norman stwierdził, że jego temperatura wynosi „zaledwie“ 5,000°. Ta cyfra zgadza się, mniej więcej, z cyfrą stwierdzoną przy pomocy innych metod mierniczych. Gwiazda R. w konstelacji Perseusza, jest jeszcze mniej ciepła, gdyż ma 2,980 stopni. Gwiazda polarna ma temperaturę 9,800°. Gwiazda D w Perseuszu—5500°, gwiazda L w konstelacji Byka, ma temperaturę wynoszącą 60,000°.

Lot ślizgowy głową na dół.

Lot taki wykonał niedawno mimowoli lotnik francuski, Aubry i z niebezpiecznej tej przygody wyszedł na szczęście bez szwanku.

Zbliżał się właśnie do ziemi lotem ślizgowym, zatrzymawszy motor, po ukończeniu wzlotu, gdy nagle silny podmuch wiatru porwał aparat, przewrócił go, jak to mówią „do góry nogami“. Lotnik zawieszony na swem siedzeniu za ramiona i uda, głową na dół, nie stracił ani na chwilę przytomności i nie wypuścił z rąk steru, którym manewrował tak zręcznie, że aeroplan z wysokości 750 metrów spadł na 400 m. Chyżość jego zmniejszyła się znacznie, a na wysokości 350 metrów aparat przechylił się do pozycji pierwotnej. W tej chwili Aubry pociągnął silnie za ster, co spowodowało, że na jakie 100 metrów nad ziemią aeroplan zajął położenie normalne, poczem wylądowanie nastąpiło gładko i bez żadnej dla lotnika szkody. Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek, zapisany w kronikach lotnictwa. Aubry zdobył nim sobie osobliwy rekord, który go kosztował zapewne kilka pełnych trwogi minut.

Piorun kulisty.

W. M. Thornton w Newcastle daje w „Physical Magazine“ proste wyjaśnienie tworzenia się pioruna kulistego. Pio-

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

run kulisty schodzi wolno z chmury zwykle po silnym grzmocie, pod postacią niebieskawej kuli świetlnej, odbija się od ziemi i jeszcze się porusza kilka metrów poziomo. Kule te idą często wzdłuż przewodnika elektrycznego, np. rury gazowej, wybuchają za zetknięciem się z wodą, jednakże niekiedy też w powietrzu. Kula znika wtedy w jednej chwili, wytwarzając gwałtowne spalanie, które może spowodować wielkie szkody i wydaje silny zapach ozonu. Thornton przyjmuje, że piorun kulisty może jedynie zawierać gazy atmosferyczne. Ponieważ jest on cięższy od powietrza i ma zabarwienie niebieskawe, głównym jego składnikiem byłby ozon, który jest istotnie o 70% cięższy od powietrza i tworzy się z powstaniem niebieskawego światła, zwłaszcza podczas silnych rozbrojeń elektrycznych. Ozon zamienia się łatwo w tlen i jest rzeczą naturalną przypisać nagłe znikanie kuli rozpalonej, nagłej przemianie ozonu w tlen; w dodatku olbrzymia ilość energii, jaka się wtedy uwalnia, wyjaśnia wybuch. Hypoteza ma więc za sobą pozory słuszności, należy tylko jeszcze dowieść możliwości wytwarzania się wielkiej ilości ozonu podczas burzy. Dowód ten Thornton odnajduje porównyując to zjawisko ze zjawiskami rozbrojenia elektrycznego z ostrza. Wykazuje on, że podczas gdy na brzegu chmury, z której wyszła błyskawica, natężenie jest prawie dostateczne, jednak nie może jeszcze wywołać nowego rozbrojenia, musi istnieć przez pewien przeciąg czasu natężona jonizacja z silnym wytwarzaniem się ozonu. Gdy gaz ten dojdzie do pewnej objętości, tworzy się kula, zostaje wyrzucona z chmury i spada na ziemię.

Leczenie choroby morskiej.

Niedawno wyruszył do Tunisu i Sycylii parowiec austriackiego „Lloydu“, wiozący członków tak zwanej podróży uniwersyteckiej. Podróż podobne

odbywają się corocznie, a uczestniczą w nich słuchacze uniwersytetu wiedeńskiego pod przewodnictwem grona profesorów. Na parowcu, który wiozł tegoroczną wycieczkę uniwersytecką, obowiązki lekarza okrętowego pełnił dr. Przibram, czyniący podczas podróży studja nad chorobą morską.

U wszystkich osób, skłonnych do tej choroby, występowały takie objawy, jak pocenie się rąk, zgaga, tudzież silna pobudliwość oddechowa. Dr. Przibram rozróżnia skłonność somatyczną do choroby i wpływy psychiczne. Podczas jazdy najniespokojniejszej chorowało 80 proc. podróżnych. Z tych, którzy byli najbardziej odpornymi, największy kontyngent dostarczyli ludzie, liczący ponad 40 lat życia. Dr. Przibram twierdzi, że istnieje obok odporności względnej odporność bezwzględna wobec choroby morskiej. Odporność bezwzględna pochodzi z przyzwyczajenia u wielu osób. Natomiast bywają marynarze, jak admirałowie Nelson i Tegethoff, którzy całe życie podlegali chorobie morskiej. Przez odpowiednie leżenie, zwłaszcza na plecach, można zmniejszyć chwilową skłonność do choroby. Przy wielkiej pobudliwości, daje dobre wyniki atropina.

Dr. Przibram stwierdził, że jeden z podróżnych, bardzo wrażliwy, dwa razy mimo wszystkich fal, uchronił się od choroby morskiej przez atropinę. Pierwsze wstrzyknięcie zrobił dr. Przibram z 1 miligramu „atropium sulfuricum“. Skutek był zupełnie pomyślny.

Nowy język międzynarodowy.

Dzienniki amerykańskie podają wiadomość o projekcie nowego języka międzynarodowego, który wymyślił urzędowy tłumacz rządu Stanów Zjednoczonych, prof. Fryderyk Braendle, z pochodzenia Niemiec.

Język ten nosić ma nazwę „Veltlang“ i rozporządzać będzie zapasem 5,000 słów. Projektodawca wyszedł z założenia,

że języki germańskie mają więcej rozpowszechnienia i siły żywotnej, niż języki romańskie. P. Braendle sądzi, że język oparty na kombinacji angielskiego i niemieckiego więcej miałby w dzisiejszych czasach szans rozpowszechnienia, niż oparty na językach romańskich, z przymieszkami żargonowemi „esperanto“.

Stary węgorz.

Do stawu parkowego w Ostaszewie, koło Torunia, w r. 1886 wpuszczono 250 sztuk węgorzów. Staw, nie mający żadnego dopływu, otrzymuje wodę ze studni 40 m. głębokiej. W sierpniu r. z. znaleziono na brzegu stawu nieżywego węgorza, mającego 80 cm. długości, a grubego, jak ramię męskie. Ponieważ od roku 1886 nie wpuszczano do stawu ani węgorzy, ani innych ryb a węgorze nie mnożą się w wodach śródlądowych, przeto węgorz ten miał 26 lat.

Rak drążący nory i kanaliki.

Wiadomo, że nasze raki chętnie chowają się w norach, a nawet w brzegu robią sobie niewielkie dziury. Raki Ameryki północnej, które poleciano bardzo do wprowadzenia w Europie z powodu wielkiej ich odporności na dżumę raczą, mają zdolność tę jeszcze bardziej rozwiniętą. Rak jednego szczególnie gatunku, *Cambarus Diogenes*, drąży sobie nawet, jak kret, długie chodniki, a z ziemi usypuje kopce, w środku wydrążone; kopce te mają 25 cm. wysokości i pokrywają nieraz znaczne przestrzenie (kilka hektarów) nad wodami, w których raki przebywają. *Cambarus Diogenes* robi chodniki szczególnie wtenczas, jeżeli woda, w której przebywa, znacznie wysycha; dąży on tymi chodnikami do wody gruntowej, a gdy się do niej dostanie, to urządza sobie na końcu chodnika obszerną jamę. W Ameryce północnej mają się także znajdować gatunki raków, które stale przebywają w chodnikach podziemnych.

Dla nowych prenumeratorów, którzy przybyli w r. b., odstępujemy komplety „Złotego Rogu“ za rok 1912 po rb. 2 z odbiorem na miejscu i po rb. 3 z wysyłką pocztową.

Nowa ekspedycja antarktyczna.

Przygotowania do nowej austriackiej ekspedycji antarktycznej pod wodzą dr. Koeniga są na ukończeniu.

Komitet ekspedycji zakupił statek „De utschland“, na którym w swoim czasie udał się do bieguna południowego dr. Filchner. Nowa ekspedycja ma na celu sprawdzić hipotezę Nordeskölda o połączeniu dwóch mórz — od strony oceanu Spokojnego morza Wedella, od strony zaś Atlantyku morza Rossa — kanałem morskim, pokrytym lodowcami.

Dwie ostatnie ekspedycje Scott'a i Amundsena miały głównie na celu dotarcie do bieguna, kwestji powyższej przeto nie zbadały. Tymczasem jednak ustalenie faktu, czy kontynent antarktyczny tworzy jedną całość czy też dzieli się na Antarktykę wschodnią i Antarktykę zachodnią — jest dla nauki ze wszechmiar ważne.

Nic więc dziwnego, że nowa ekspedycja dr. Koeniga wzbudza w kołach naukowych wielkie zainteresowanie.

Rytualne ludożerstwo.

Korespondent „Times'a“ miał wywiad u przybyłego przed paru dniami do Plymouth'u prokuratora Złotego Wybrzeża, sir Braudford Griffith'a w sprawie tajemniczego stowarzyszenia „Leopardów“, które pod zarzutem ludożerstwa przed kratkami sądu w Sierra Leone stawało. Wiadomości o tym pro-

cesie oddawna już się ukazywały w prasie angielskiej, niepodobna jednak było wyrobić określonego zdania o zjawisku tak niezwykłym nawet na terytorjum amerykańskim, zajętem przez Anglików.

Jak się okazuje w Sierra Leone pomiędzy ludnością czarną, dziś już stosunkowo ucywilizowaną (o stopniu kultury jej świadczy fakt, iż w 96 szkołach początkowych Sierra Leone kształcą się 8,519 uczniów liczbą, która w stosunku do ogólnego zaludnienia 75,572 nie może nie być uznana za wysoka) istnieje, nie wspólnego ani z islamem, ani z rozpowszechnionymi w Afryce środkowej odmianami bałwochwaltwa nie mająca, sekta wyznawców śmierci.

Śmierć pojmują oni nader oryginalnie: jest ona według nich nieskończonym oceanem dusz zmarłych, wchłaniających życie. Bardzo szczegółowo rozwinięta jest u wyznawców tej sekty wiara w istnienie larw, upiórów, teoria zaś o sukkubach i inkubach ogromnie przypomina teorię, które w średnich wiekach w Europie istniały. Sekta składa w ofierze ludzi — zarówno dorosłych jak i dzieci, przyczem po spełnieniu obrządku — obecni pożerają ciała ofiar — wymaga bowiem rytuał, by pierwiastek życia w krwi pozostający zlał się z pierwiastkiem istoty żyjącej.

Śledztwo wdrożone przeciw 300 z górą oskarżonym ciągnęło się niesłychanie długo: kapłani sekty posiadają rozległe wiadomości okultystyczne, umieli prze-

to przez sugestję tak plątać zeznania świadków, iż zdawać by się mogło, że вина podświadomych nigdy nie będzie udowodniona. Ostatecznie udało się władzom europejskim zgromadzić dostateczne dowody i oto 100 członków sekty „Leopardów“ zostało skazanych: 40 na karę śmierci, reszta zaś na deportację.

Sir Griffith przywiózł z sobą bardzo ciekawe dane, dotyczące mało znanej teozofji wyznawców śmierci. Będą one przedmiotem specjalnych badań Brytańskiej Akademji w Londynie.

Światowy rekord lotniczy.

Lotnik francuski Perreyon dokonał nowego rekordu światowego pod względem wysokości. Perreyon, naczelnny pilot firmy „Blériot“, wzniósł się o godzinie 11 przed poł. w powietrze, zabrawszy z sobą panią de Flagnis jako pasażerkę. Monoplan, na którym odbywała się podróż, wzniósł się bardzo szybko, aż do niebywalej wysokości 5100 metrów. Wylądowanie nastąpiło o godz. 12 min. 8. Lot w górę trwał 55 minut, lot w dół w celu wylądowania zajął tylko 13 minut czasu. Na wysokości 4000 metrów musiała p. de Flagnis wdychać tlen. Monoplan Blériota, którym posługiwał się Perreyon, należy do typu wojskowego i posiada motor „Gnom“ o sile 160 koni. Dotychczas najwyższy lot z pasażerem odbył na wysokości 4360 metrów austriacki nadporučnik Blaschke na polu lotniczym w Aspern pod Wiedniem.



LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

19)

m z asobami książę zajął się organizacją nowej siły wojennej.

BOHATER.

VIII.

POWIEŚĆ.

Wracał do siebie posepny, przygnębiony. Animusz żołnierski i ich dobro, niezachwiana wiara w przyszłość na chwilę tylko podnieciły wodza. Przyszła tem silniejsza depresja. Książę rozumiał, jak ciężkie, jak trudne czekają go teraz zadania.

* * *

Ale depresję swoją ukrył książę w najgłębszych tajnikach duszy, dla ludzi zachował pewność swego czynu i swego słowa. Nie zdradził się z wahaniem.

Należało pohamować negocjatorską skwapliwość kolegów w rządzie.

Na radzie ministrów mówił:

„Przybywszy tu, stosownie do wyższych rozkazów, jako dowódca korpusu V-go z wojska narodowego składającego się, sądzę być moim obowiązkiem donieść radzie, równie smutną jak nietajoną powszechnie wiadomość, że korpus rzeczony, walecznością swą i miłością ojczyzny, mierząc wszystkie tej kompani nadarzające się trudy, niewygody i niedostatek skutkiem poświęcenia się swojego i opierania z odwagą natarczywości nieprzyjaciela, zupełnie prawie zniszczony został w ludziach, koniach, zaprzęgach e.t.c. tak dalece nie mała liczba pozostałych, powracając z orłami i artylerją, w zupełnej swojej całości utrzymaną, nie przynoszą z sobą jak tylko honor, rękojmię dalszych swych poświęceń i tę drogą pociechę, że wszystko uczynili i uczynią, co po nich miłość ojczyzny i króla wymaga...”

Zostały armaty, sztandary i honor. Z ty-

Panna Krystyna po przybyciu do stolicy ze swymi rannymi, stanęła w dworku ciotki, pani Cześnikowej Jacuńskiej na Grzybowie. Dworek stary był nieco opuszczony ale obszerny i wygodny. Staruszka z wychowanicą, cudną czarnobrewą, płomiennolicą panną Martą Brzozowską, i z trojgiem, czy czworgiem służby wiodła tu żywot bardzo szczególnie. Zaczyna matrona wychowana w dawnych tradycjach, nie mogła się oswoić z manierami współczesnego, jak mawiała, farmazońskiego towarzystwa. Razila ją zbyt swoboda w zachowaniu się młodzieży z kobietami, a zwłaszcza zbyt swoboda wyrażania się osób z towarzystwa o rzeczach, które ona za święte i nietykalne uważała.

Właściwie pani cześnikowa sama do towarzystwa, to jest do tych kilkunastu, czy kilkudziesięciu rodzin, arystokratycznych, które ton stolicy Księstwa nadawały, nie należała ani przez własne koligacje, ani stosunki.

Cześnik Jacuński, świeć Panie nad jego duszą, był sobie szlachcic starej daty, szarak, hreczkosiej, bez pretensji do pańskości, ale dobry gospodarz, rachunkowy, zbiegły, obrotny, że objawszy dziedziczną ojcowiznę z trzech dusz pod Piotrkowem, niebawem ją na sporą wieś w województwie Podlaskim przefaciendował. Nie długo potem dokupił folwark jeden, drugi i trzeci, a kiedy wybuchła insurekcja był panem wcale okazałego kluczyka, że już bez mała magnacką fortuną mógł się poszczycić.

Wtedy właśnie na wezwanie naczelnika, różnemi drogami wczesną wiosną zaczę-

i ściągając z zagranicy emigranci, którzy po upadku Konstytucji, kraj byli musieli opuścić. Wtedy to do Wólki Dobrzyckiej, nowej rezydencji pana Cześnika prosto z Francji zjechał pan jakiś ubrany z waszecia, prawie ubogo. Przybył na zwykłej teledze, niby rzemieślnik za robotą lub kupiec wędrowny z towarem, dziwny ten podróżnik, wioził za sobą dziecinę kilkoletnią — śliczną czarnuszkę z ogromnymi przerażonemi oczyma.

Pan Cześnik witał przybyłego przecież nie jak skromnego wędrowca, który przed jego domem stanął prostym wasagiem zaprzężonym w parę lichych szkapiąt, ale jak pana wielkiego, i niezwyklej powagi osobę. Wybiegł na ganek i w pas się kłaniając, nieledwie za nogi objął niby możnego swego dobrodzieja.

Co prawda opowiadano sobie po cichu w bliższym i dalszym sąsiedztwie, że szlachcic, jakoby za pieniądze jakiegoś możnego emigranta okupił się miał w okolicy, i nagle z chudopacholka na pana wyjechał. Nikt wszakże nie pewnego o tem nie wiedział, nie wszyscy też wieściom podobnym wiarę dawali. Uraść cześnik w majętności, bo gospodarz był zawołany i, doprawdy z ziemi, którą władał, w dwójnasób wycisnąć umiał. Sprowadził z Saksonji owce cienkowiedne, które choć delikatniejsze od naszych świniarek, przy dobrem staraniu w ogromne się stada niebawem rozrodziły, a stąd obornika miał na zimne grunta wybornego pod dostatkiem, od czego znowu pszenica i żyto sypały u niego, jak nigdzie indziej w okolicy. Pozatem i przemysłem się zabawić nie wstydził. W lasach smołę topił, potaż wypalał, mydło gotował, w folwarkach znowu okowitę pędził. Jeżeli tedy rzeczywiście cudzym groszem obracał, to obracał nim z pożytkiem i ten, co fundusze swoje w ręce jego złożył, mógł być pewny, że pieniądz nie pójdzie na marne. Jeżeli to nim był istotnie ów skromny podróżnik, to snadź sprawy między nimi w należytych szły porządku i Cześnik sumienie musiał mieć czyste, bo radość z przybycia gościa okazywał zgoła bez wszelkiego udania.

— Kogo to, mospanie, wam Bóg w gościny zsyła! — wołał, bijąc się po bokach kontusza, niby kogut skrzydłami. — Kogo to czy moje nareszcie ujrzeć mogą? Takieśmy czekali, tak czekali. Aż oto, wasz-

mość pan i dobrodziej mój, we własnej swojej osobie.

Spostrzegł nagle w teledze drobną twarzyczkę dziecięcia i prawie oniemiał z podziwu.

— A co to, mopanie, na bryce? wykszusił wreszeie.

— Dziecko.

— Czyje?

— Moje.

— Jakże to?

Uśmiechnął się ów smutnie i nie odrzekł nic narazie. Wziął Czesnika pod rękę.

— Mości Cześniku, poproś Waśc jejmość dobrodziejkę swoją niech się w tym momencie onym ptaszatkiem małym zaopiekować raczy, a my ze sobą pomówić na osobności mamy. I to bez straty czasu mości panie Cześniku kochany, bo jutro do dnia w dalszą mi drogę ruszać trzeba, a sprawa długa i zawiła.

Zaczął hukać cześnik na żonę:

— Hej, Tecia, Tecia, a chodź że tu mociumdziko, obacz, mopanie, jakich tu mamy gości.

(d. c. n.)



4) ZYGMUNT KAWECKI.

D Z I E D Z I C.

NOVELA.

(Dokończenie).

Histrjonie!

Leżysz więc, jak długi... nad tobą, czarne łuki brudnego sklepienia... nad tobą widać posępnej prawdy, której zamykasz dostęp, której grasz zemdlenie...

Co dalej?

Ano — przez sień przechodzi czerwono-lica Julka. Idzie leniwo na swe zwyczajne przednocelegowe służby u babci. Pod fartuskiem niesie pewną wypukłość którą stawia w szafce... Spostrzegłeś to... błyskawicowe poczucie komizmu przemknęło ci... Ale gdy Julka lekko się nachyla, gdy się py-

ta, przecz żeś powalony, ty wtedy krzykniesz, jakoby nagle z snów kamiennych, ocknięty.

— Leć Julka! Babcie mordują!

Dziewczyńnię wypada rzecz obla z dłoni, pocziwość rusza z kopyta, larum podnosząc. Już jest przy drzwiach — otwiera — wbiega.

Tobie czas się podźwignąć... wstajesz — idziesz slaniając się!.. Jesteś, jako widmo świadom ceremoniału.

Pospieszając z wysiłkiem (a jakże!) — docierasz do drzwi — stajesz — machinalnie podsluchujesz — bezwolnie ciśniesz klamkę — wchodzisz.

...Babcia pije wino z Zaniewskim — i klnie na zwarzowaną Julkę. Zdzichowe małe ślejoki aż wylażą — a choć nieprzytomnyś — przeczytasz, co ci śpiewają...

— Słuchaj, jeżeli dziś nie rozpeknię się, to mnie moc wewnętrzna uniesie jak balon do góry!.. O! to...

Szkoda było i zemdlenia i trwóg i jasnowidztwa!...

* * *

Teraz — że cóżby innego, jeśli nie kawiaienka.

Żdzich do mordercy:

— Owóż bładę przyjacielu' — ty miałeś *animus*, wolę, zamiar, czy jak tam. Ja byłem ramieniem wykonawczem. Powinienbyś dyndać. Kiedy jednak narazie tak wysoko rzeczy nie stoją, posłuchaj. Kiedyś mnie tu w tymże samym lokaliku ideowo nastrojał i ofiarniezo a altruistycznie przysposabiał, zakrzyknąłem, jak pomnisz: „wina!!!“ — załapując cię tym sposobem przypuszczeniem, że się jeszcze raz ostatni razem z tobą oszołomić zamierzam. Po tem piliśmy, nie wspominając o tem ani słowem — a w tobie nasionko pęczniało i rosło. Nazajutrz śledziłem wieczór, przyczajony w ogródku, kiedy się zbierać zaczyniesz do wyjścia. Zauważywszy chwilę decydującą pobiegłem z chyżością jednostajnie przyspieszoną, naokoło — ku frontowemu wyjściu — i wtedy właśnie ujrzałem mnie zdążającego ku pokojom babci. Przystanąłeś jak zawiany — skryłeś się w cień — kiedy *animus* twój mordował babulę — kiedyś mózg potwornościami gimnastykował — ja tymczasem piłem winko, które babcia „zbójem“ mianuje — (uważ jaką ironją!) — i proponowałem osobie szanownej nieznaczną zaliczkę, albo nawet i współudział w naj-

nowszym moim wynalazku na mocy którego będzie można światło, a właściwie gaz, przezemnie wydobyty, kupować zamiast nafity po sklepikach i nie używając naczyń ani lampek rozpraszać jak świetlany płyn w izbach gwoli taniej a wygodnej jasności... Co? oniemiałeś? Nie dziwno! Drugi zaś wynalazek mój — teraz dopiero zdębiejesz świntuchu — dedykuję poskromnieniu takich jak ty wynalazców ofiarniezej zbrodni przed samobójstwem. Jakem go wypraktykował — pokazał wypadek świeżo zademonstrowany. Uratowałem cię przed zgryzotami, które by cię były strawiły — bo pewien jestem, że na całe to dziedzictwo dopiero plunąłbyś, nie tykając puścizny i tak jak twierdzisz przeklętej — a po tem wszystkiem chyba, że kryminalnej. Teraz stawiaj wino, koniak Bronię, Tonię i co żywnie pożądasz...

Gdy się to rzekło, ścisnął Żdzich Edwarda, Edward Żdzicha.

* * *

Ów najgorszy płatniczy, ożeniony z wychowanką pani Teodory — zniósł wkrótce dziedzictwo, którem zawiadował — z powierzchni istnienia. Żonę bił aż grzmiało — babcie nauczył ascezy konsumcyjnej i winnej. Tak tryb życia przyspieszył babci królowanie na „tamnym świecie“, do którego przeniosła się opuszczona przez bernardynów, faktorki, bastardy i pupilkę „istotę zaną i pocziwą“. Trumna zakupiona przez starego Polińskiego, zesła ze swej kryjówki na strychu i ona to była ostatkiem, którego szczęściem Opatrznościowem, nie zdołała kelnerska dusza płatniczego dopaść i spieniężyć.

* * *

Edward był już w świecie i pracą własną zdobywał piędź po piędzi. Żdzich zaś, z nadmiaru wynalazczości i mechanictwa, kręcił piguły, jako zawzięty farmaceuta.

K O N I E C .



REWOLUCJONISTA.

NOVELA.

(Dokończenie.)

Od jakiegoś czasu widywała Iza rzadziej swego sąsiada. Snać sprawy majątkowe cały czas mu zabierały. Zwolna wyszły ze zwyczaju pogawędki na ganku. Wieczory spędzał Zarzeński w swoim mieszkaniu, przeglądając rachunki i rejestry.

Iza, zawsze teraz w ponurym nastroju, najczęściej leżała na aksamitnym szeslongu w buduarze, patrząc w sufit nieruchomo... Myśli jej były tragiczne, beznadziejne.

Widziała oczami wyobraźni grób swój na cmentarzu za wsią u stóp białej, rozplakanej brzozy. Leży na nim prosta granitowa płyta — na niej wykuty napis... „Wzgardziła życiem... z własnej woli zstąpiła w grób w wiosnie...” Tu zawahała się, czy ma postawić rzeczywistą liczbę lat... Lepiej będzie wyglądało dwadzieścia cztery, zamiast trzydziestu... Napis wogóle powinien być krótki a wymowny, skromny i poetyczny...

Tymczasem Anielka, po dziennej pracy, wymykała się ukradkiem do ogrodu...

Było cudne, czerwcowe południe.

Przyroda cała — młoda, wonna, kwiecista była jakby jednym promiennym, radosnym uśmiechem.

Iza swoim zwyczajem poszła na przechadzkę.

Tym razem wybrała drogę mniej uczęszczaną, w głębi zarosłego olszyną wąwozu. Śliczne to było miejsce. Kryształowy wężyk źródelka cicho szemrał, biegnąc po żwirze, cały przepych łącznych kwiatów oplótł urwiste krawędzie wąwozu, niby cudne o tęczowych barwach wstęgi. Nad źródelkiem złociły się pełniki, przeglądały się w wodnym zwierciadelku błękitnookie niezapominajki.

Zaprzęgnęła Iza zerwać ich kilka. Nie chcąc zamoczyć bucików, jęła przeskakiwać po oślizgłych kamykach na drugą stronę źródelka. Była już blisko, nagle obsunęła się jej noga. Iza straciła równowagę i upadła na kamienie.

Podniosła się zaraz, ale zaledwie zrobiła

krok naprzód, syknęła z bólu i oparła się ręką o drzewo. Zwicnęła sobie nogę.

Do dworu było daleko. Mowy być nie mogło, żeby doń zaszła bez niczyjej pomocy. Ale o tę pomoc było najtrudniej. Wąwóz był na uboczu i tylko w porze dojrzejących jeżyu dzieci wiejskie tu zachodziły. Obecnie cisza była niezmacona.

Narazie nie było rady. Iza usiadła z rezygnacją na trawie, oczekując wybawienia.

Słońce zachodziło jaskrawo. Lekkie cienie zdawały się pełzać w głębi wąwozu, podczas gdy jego boki pałały olśniewająco całą krasą wiosennych barw i różowej jasności.

Zwolna ginie czar światła... émi się... zagasa... Sina, przykra szarość osnuwa gęstą przedzą drzewa — zalewa ziemię potop oliwianej szarości.

Niepojęty, rozpaczny prawie smutek opłynął duszę Izy.

Poczucie własnej nędzy i bezsilności wobec niepojętego przeniknęło jej istotę. Poczęła płakać cicho, potem coraz głośnieję. Przytuliła twarz do chłodnej, zroszonej ziemi.

O życie! życie! życie!

Długo tak leżała. Gwałtowne łkania ucichły. Pozostało jej tylko uczucie dziwnej bezsilności i osamotnienia.

Ciemność zaległa wąwóz. Iza wreszcie otworzyła zamknięte dotąd powieki i strach ją ogarnął wobec nocy. Wszystko inne zeszło na drugi plan. Co ona teraz pocznie, jak dojdzie do domu ze zwicniętą nogą?

Strwożona i bezradna znów płakać poczęła.

Ale oto błyska jakieś światło na zakręcie wąwozu... latarnia! ktoś idzie... on! nachyliła się nad nią. Słyszy tak miły jej uchu głos:

— Pani tutaj? Co się stało? Szukaliśmy wszędzie! Co pani jest? Ależ pani chyba chora... taka blada! Biedactwo.

Iza z męczeńskim uśmiechem wyszeptowała, że ma nogę zwicniętą i iść nie może. Chciała przemódz ból i w tym celu zrobiła krok naprzód, ale o mało nie upadła. Wtedy Zarzeński otoczył ją silnym ramieniem i podtrzymał.

— Nie pozwolę pani iść—to darmo! Obejdę się z panią, jak z bezbronnem dzieckiem... roześmiał się. Wziął, bez wielkiego

wysiłku na ręce jej drobną, szczupłą postać, pomimo nieśmiałego oporu z jej strony, i poniół ostrożnie.

W kwadrans później Iza leżała wygodnie na szezlongu w swoim pokoju. Obok stał Zarzeński i patrzył na nią z troskliwością i jakby niepokojem.

Przymknęła oczy. Odczuwała niezmierną błogość na myśl, że on troszczy się o jej zdrowie. Do tej pory nie obchodziło ono nikogo... Drogi, kochany przyjaciel...

Dziwnie ją to rozrzewniło. Poczęła płakać cicho.

Gdy po pewnym czasie spojrzała w jego stronę, spotkała błyszczący wzrok Zarzeńskiego — inny niż zwykle.

Wiele mówiły jej te utkwione w nią płomienne oczy... Odwróciła głowę zmieszana.

Zarzeński się zbliżył ku niej cicho i ujął jej obie ręce w swoje silne dłonie.

— Izia... biedna... moja... — szeptał tklawie, urywanym głosem, pochylając się ku niej, a gorący jego oddech owiewał jej usta.

Wtem drzwi skrzypnęły. Weszła Anielka z herbata.

— Z przyjemnością widzę, że pani lepiej. Niewolno mi dłużej przeszkadzać.. Pozwoli pani, że jutro dowiem się o zdrowie... dobrze?

Mówił jak dawniej chłodno. Pożegnał się zaraz i wyszedł.

Anielka nocowała w pokoju Izy, która dostała gorączki.

Nazajutrz pomimo bólu w nodze, Iza wstała.

Pragnęła jak najprędzej zobaczyć Zarzeńskiego — przekonać się niezbicie, że to nie sen, nie majak gorączkowy, nie przywidzenie — że naprawdę on ją — kocha!

Szalona radość rozpierała jej piersi. Jednocześnie nie mogła sobie wyobrazić, jak się to stało.

Oboje przecież pogardzili życiem, miłością, szczęściem a oto mści się bóstwo wielkie, mocarne — rzuca dwoje buntowników sobie w objęcia. Kochajcie się, jako i inni!

Bo ona już nie ukrywa więcej przed sobą prawdy: całą żywiołową potęgą spragnionego serca kocha Zarzeńskiego.

Przez otwarte okno płynęło światło słoneczne złotą strugą, wonie, barwy, świergoty ptaków, brzęk pszczół i pieśni kosiarzy. Jaki świat piękny! Jakie życie cudowne! Uśmiechała się Iza radośnie do złotej przędzy promyków, pływających po jej sukni, do jaskółki, co siadła na ramie okiennej, do siebie samej, odbitej w lustrze, wypiękniałej niezwykle.

Ona myślała jeszcze wczoraj o śmierci... co za dzieciństwo!

Nie mogła usiedzieć na miejscu. Wyszła na ganek. Tu prędzej go zobaczy.

We drzwiach zetknęła się z Porębskim, który uklonił się jej uniżenie. W rękę trzymał jakiś przedmiot, owinięty w futerał.

— Co to pan niesie, panie Porębski? — spytała machinalnie prawie, zajęta myślą o Zarzeńskim jedynie.

Porębski usłużnie odchylił futerał. Zobaczyła połyskującą lufę browninga. Drgnęła nagle gwałtownie. Jakaś błyskawiczna myśl przebiegła jej przez głowę.

Dziedzie kazał wyczyścić i przynieść... rzekł Porębski. Poszedł wgląd mieszkania Zarzeńskiego.

Iza stała jak wryta długo. Wreszcie potrząsnęła głową.

Co za dzika myśl! Teraz onby już tego nie zrobił... kocha jak i ona życie... zaraz go zobaczy... Co on jej powie?

Gorąca fala młodej krwi przypląnęła do serca...

Dobre, kochane życie!..

Skrzypnęły drzwi od mieszkania Zarzeńskiego.

Idzie...

Iza przycisnęła ręką bijące serce. Drugą poprawiła „postiche” na głowie i koronkowy żabot pod szyją.

Na ganek wszedł — Porębski. Oddał uniżony ukłon Izie, wziął z ławki zostawioną tam poprzednio czapkę i oddalił się.

W tej chwili Izę poproszono na obiad. Poszła do jadalni i usiadła przy stole, jedzenie jednak schodziło nietknięte. Miłość odjęła jej apetyt zupełnie.

Całe południe błądziła po pokojach, zdenerwowana ogromnie. Dlaczego on nie przychodzi?

Wiedziała, że nigdzie nie pojechał. Dlaczego do niej, całą duszą łaknącej jego widoku, nie przychodzi? dlaczego?

Znów poszła na ganek i tam usiadła.

Zmierch zapadał.

Czerwone koło księżyca wychyliło się z za boru, rzucając na ziemię dziwne, złowrogie światło.

Od strony wioski dochodziło przeciągłe wycie psów.

Nad gankiem krążyły bez szelestu nietoperze, uderzały w oświetlone okna mieszkania, poczem niby senne majaki, znikwały gdzieś w głębinach mrocznych ogrodu.

Dziwna trwoga poczęła ogarniać Izę, jakieś bolesne przecucie wiszącego nad jej głową nieszczęścia.

Niepokój nagły zatargał jej nerwami — niepokój o Zarzeńskiego.

Ona domyśla się, czemu on unika z nią spotkania... pamięta jego słowa: „odejdę jak król od uczyty żebraczej w stosownej chwili...”

A jeżeli ta chwila dziś nadeszła? Jeśli — zdawszy sobie sprawę z uczuć swoich, nie chciał dać zatryumfować nad sobą życiu? Boże! Boże, ratuj go! powstrzymaj jego rękę! Ten browning...

Dreszcz przebiegł Izę. I wydało jej się, że słyszy huk wystrzału, to znów bijące gdzieś w dali dzwony pogrzebowe...

Tak... on tam gotuje się na śmierć... A ona? ona? Czy będzie mogła żyć bez niego? Czy stanie się pastwą nieznanego przedtem bólu i męki?

Pójdź, śmierci! Ona umrze wraz z nim, w jego słodkim, ukochanym objęciu!

Bez wahania, stanowczym krokiem skierowała się ku drzwiom, wiodącym do mieszkania Zarzeńskiego.

Wzięła za klamkę. Drzwi otworzyły się cicho.

Fale miesięcznego światła zalewały pokój. Nikogo w nim nie było,

Śmiałość i determinacja opuściły nagle Izę. Krok jej stawał się coraz cichszy, coraz niepewniejszy, wahający.

Przechodziła przez drugi pokój, przyémiony storami, gdy z poza zamkniętych drzwi trzeciego pokoju doszedł ją ruch jakiś.

Tam — on jest... żyje! Jeszcze nie za późno!

Drżącą ręką otworzyła drzwi.

Przyémione błękitne światło ampli niewyraźnie oświetlało pokój. Była to sypialnia.

Podniecona do najwyższego stopnia niepokojem i tęsknotą Iza, wyczuwszy raczej niż zobaczywszy ukochanego, wyciągnęła ku niemu obie ręce w ekstazie:

— O pozwól, pozwól mi umrzeć z tobą!

I — zobaczyła już wyraźnie zdumioną i przerażoną twarz pięknego rewolucjonisty, potem — gwałtowny odruch ręki, którą odsunął, przytuloną doń pieścizotliwie — Anielkę...

KONIEC.



DUCH I MATERJA.

*Przyczyna życia, wzrok wszelkiego i ruchu
Gdzie leży? czy w materji
Czy mieści się w duchu?*

*Dwa ciała: jedno żyje, w drugim zgasło życie.
Gdzie jest duch? gdzie materja?
Patrzcie, a ujrzycie.*

Spojrzyj na ład brył: zda się — niewzruszona.

*Gdzież po latach jest? pytasz, gdzie?
Na pył skruszona.*

*A duch? Jest eterycznej, rozwiewnej natury,
Lecz co zdziałał po latach?
Spójrz: podźwignął góry.*

*Przez wszystkich podziwiane, najpiękniejsze
[ciało,
Swoje lata przeżywszy.
W proch się rozleciało.*

*A duch? Coraz to większe, po latach, ma
[czczenie,
Coraz jest potężniejszy,
Żyjąc nieskończenie.*

*Materja — to wehikuł, dusza jest motorem,
A duch kieruje wszystko,
Jakim pragnie torem.*

Jan Lemański.

BALLADA O ŚPIĄCYCH KSIĘŻNICZKACH.

...Mais ou sont les neiges d'autant...
Villon.

O, roztesknione wy anielice,
Królowne śniące i zakochane!
O, serca z wosku — blade dziewice!
Wy, bezcielesne, umiłowane,
Tkliwą pieśczętą rozkołysane,
Czy znacie chmurną przedwczesną jesień,
Kiedy wzbierają nieokielznane
Wśród snów tęsknoty — morza uniesień?

Czy znacie burze i nawałnice,
Gdy sny się walą w ciżbę zmieszane,
Rozpacz podnosi drwiąco przyłbice,
Serce przyzywa — próżno — Nirwanę?..
Czyście słyszały, szczęściem pijane,
Jak huczą w niemych hymnie Podniesień
Przedziwnie pełne i rozsłochane
Wśród snów tęsknoty — morza uniesień?

Księżniczki rzewne, wasze tęsknice
Legną umarte i zapomniane,
Pozapalacie przy nich gromnice
I rozżalone, i zapłakane
Tulić będziecie serdeczną ranę...
A kiedy dędzysty przeminie wrzesień,
Legną, uciszą się, pokonane —
Wśród snów tęsknoty — morza uniesień.

POSŁANIE:

Księżniczki piękne, nie smartwychwstaną
W tych sercach, które zmroziła jesień:
Ale przypomną wam pogrzebane
Wśród snów tęsknoty — morza uniesień.

Zdzisław Milner.

SMUTNA DZIEWCZYNA.

Skonała w duszy mej srebrzysta chwila,
wszystkie dziewczęta śmiały się dziś ze mnie,
a śmiech ten leciał skrzydłami motyla —
chciałem wybaczyć ten śmiech... lecz daremnie.

Bowiem me skarby wioząc przez odmętą,
wszystkiem zatopił je w żalosej dobie
i śmiały ze mnie się wszystkie dziewczęta,
wszystkie, prócz jednej... ta była w żalobie.

Bowiem me serce złamano w kawały,
wraziła szpony w nie dola okrutna —
i wszystkie moje dziewczęta się śmiały,
oprócz tej jednej, która była smutna.

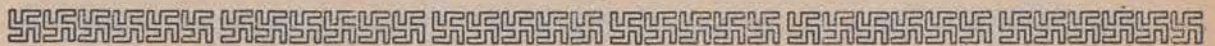
Skrzywdzili ludzie mnie, wydarli połów,
dusza ma jasna w snie Nirwany kłęczą —
a śmiech tych dziewcząt, jak hymny aniołów
skłetych, w mych uszach jeszcze do dziś jęczy...

Wszystkie me skarby pochłoneły tonie,
wzięła je morza posepna mogiła —
i śmiech w dziewczyny każdej powstał łonie,
Oprócz tej jednej, która smutna była.

Ah! bo ja skarby wioząc przez odmętą,
wszystkiem zatopił je w żalosej dobie —
i śmiały ze mnie się wszystkie dziewczęta,
wszystkie, prócz jednej... ta była w żalobie.

Ah! moje serce skruszono w kawały,
szyderych śmiechów złamała je siła —
i wszystkie moje dziewczęta się śmiały,
wszystkie, prócz jednej, która smutna była.

Zygmunt Zaleski



HERMAN BANG

7)

Cudowne dziecko.

(Z duńskiego).

(Dokończenie).

(OPOWIEŚĆ).

Karolek był ubrany w majteczki do kolan oraz i kurtkę, gdy odjeżdżał do pana Padeloup. Pan Emmanuelo de las Foresas odprowadzał swego syna.

Pan de las Foresas wszedł najpierw do „pokoju dla uczestników“. Karolek nieśmiało kroczył za nim, z pudłem w ręku.

Jakiś pan podszedł do nich.

— Czy pan jesteś panem Padeloup? — spy-

tał pan de las Foresas, — oto cudowny skrzypek — Charlot Dupont.

Pan Padeloup nawet nie spojrzał na pana Emmanuela de las Foresas.

— Mój panie, — rzekł — jest to, jak się zdaje jakieś nieporumienie. Paneś przyszedł nie na maskaradę! Tu się odbędzie koncert. Bądź pan łaskaw, udaj się do domu i przebierz się odpowiednio.

Pan Emmanuelo de las Foresas nie miał nawet czasu zrobić miny, iż czuje się mocno obrażony, gdyż pan Padeloup obrócił się i wyszedł.

Pan Emmanuelo de las Foresas szorstko skierował się ku drzwiom i również wyszedł. Karolek poszedł za nim. Płakał, schodząc ze schodów. Cała orkiestra była już w komplecie...

Pani de las Foresas wydołała gdzieś na

Usta, które nie zaznały pocałunku.

(Z niemieckiego).

piątem piętze ubranie na wieczór i pan Charlot Dupont pojechał z powrotem na koncert.

Tym razem pan Emmanuelo de las Foresas już nie odprowadzał Karolka...

Panu Emmanuelo de las Foresas już ostatecznie dokuczali ci wszyscy „nietaktowni ludzie.“

Charlot Dupont doznał znacznego powodzenia, według doniesienia „Le Figaro“.

Charlot Dupont wyruszył na tournée po prowincji. Prawie w każdym mieście „robił klapę“.

Po powrocie do Paryża, począł szukać miejsca w orkiestrze.

Karolek zjawił się i zagrał jakiś kawałek przed kapelmistrzem.

Ten nie pokazał po sobie większego zadowolenia.

— Nieźle... nieźle... ale ton za cienki!

— Instrument bardzo mały,—rzekł Karolek.

— Być może...

— Pańskie imię?—spytał kapelmistrz.

— Charlot Dupont?! Pozwoli pan, że zapytam, czy nie pan jesteś owym cudownym skrzypkiem?

— Tak,—rzekł Karolek,—ja nim jestem.

— Ach,—pan kapelmistrz, jakby zachnął się,—nie sądzę, aby—wie pan... dla wirtuozów u nas... niema miejsca... My—pan to rozumie, panie Dupont—my potrzebujemy ludzi, którzy mogą pracować...

I upewnił pana Dupont, że miejsce już zajęte.

Karolek znowu znalazł sobie impresaria.

Objężdżali teraz wszelkie ohydne miasteczka. Wszędzie były puste sale, niewyrównane rachunki, kosze pozajmowane; długie, pełne lęku, dni. Nieśmiało zapytania po księgarenkach: „czy aby sprzedano cokolwiek?“ Uważano już za szczęście, gdy chociaż wydatki zostały pokryte...

Karolek przeważnie czuł mocne wyczerpanie.

W repertuarze swym miał jeden ulubiony przez się „kawałek“. Nazywała się ta rzecz „La Folia“.

Charlot Dupont grał ją tak, że ludzie bardziej uczuciowi głośno płakali...

Ale krytyka ubolewała na tem, że panu Charlotowi Dupont brak energii, że ton jego gry jest cieniutki, jak nitka...

Zdarzało się również niekiedy w tych podłych miasteczkach, że pierwszy koncert mijął przy pełnej sali.

Na następnych wszelako — zawsze były pustki...

Teraz Charlot Dupont ma dwadzieścia lat.

KONIEC.

Na widok nauczyciela zerwał z głowy kapelusza i z wielkim zapalem zaczął nim wywijać wysoko nad głową, wykrzykując pozdrowienie tak donośne, jakby witał udzielnego księcia. Następnie poszedł dalej drogą, wyprostowany, jakby kij poknął; szedł cicho, i tylko śnieg skrzypiał pod jego majestatycznymi krokami.

Filip Unruh poczuł naraz dziwną sympatję do tego człowieka, którego samotne mieszkanie dzieliła tylko, gorąco przezeń kochana, małpa, nazywana przez niego: „Kümmerlich“.

Niedaleko poczty znajdował się bardzo stary budynek, w którym mieszkała Myra z matką. Dwa okna były oświetlone i przesłonięte żółtymi firankami. Nauczyciel stanął wśród śniegu na drugiej stronie ulicy i oparł się o drzwi sklepu kuśnierza.

Na firance zarysowała się sylwetka: profil mężczyzny, który wynurzył się i znikł. Następnie ta sama głowa ukazała się raz jeszcze, blisko i dlatego — mała i wyraźna; pod wpływem jednak ciągłych żywych ruchów stawała się coraz większa. Obok zjawił się drugi cień, tym razem głowy kobiecej. Dwie te głowy trwały w spoczynku czas jakiś, jakby nieporuszenie patrzyły na siebie wzajemnie; potem pochyliły się ku sobie i znów odstąpiły. Jednocześnie w drugim oknie zarysował się inny cień, na widok którego czoło Filipa Unruh zasepiło się mimowoli. Cień ten, wyraźnie przez światło uwydatniony, zwrócony był bez ruchu w stronę poprzednich, jakby całe istnienie jego istnienie od nich było uzależnione. Włosy spadały w bajecznych zwojach na czoło, wyraźnie zarysowywał się delikatny nos i usta zaciśnięte.

Cała gra tych trzech bezsilnych postaci miała w sobie coś tak nierealnego, tak fantastycznego, że widz długo stał zdumiony w ciemności, pośród otaczających go domostw i ze szczególną mocą szpiegował ciszę, rozpostartą wśród pokrytych śniegiem uliczek. Cisza ta zdawała mu się złudną sukienką, za której nieruchomymi fałdami wylegały się groźne namietności, mogące wstrząsnąć i spustoszyć ziemię. Sam on był pochycony w ich wir, ba! umęczony nimi, ale nie ośmielał się zdać sobie z tego sprawy. Pełen niecierpliwego nowego życia, widział dokoła siebie miliony żywotów, pogrążonych w lodowate milczenie, przez nieme siły natury.

Teraz zaszło coś niezwykłego. Oto oba cienie podniosły się, nie odstępując wzajemnie od siebie. Trzeci cień wyciągnął ramiona, niby zaklinając i błagając. Potem cień kobiecy przesłizgnął się ku drugiemu oknu. Wyciągnięte ramiona opadły i cała postać opuściła się ku zie-



mi. Druga postać zaczęła rosnać z przerażającą szybkością, schylając się i podnosząc. Sylwetka mężczyzny stała bez ruchu, z ręką przyciśniętą do czoła. I nagle — pograżyło się wszystko w nieprzeniknionym mroku.

Nauczyciel tęsknie westchnął. Stał jeszcze niezdecydowany, pragnąc odgadnąć kryjącą się w tem wszystkim zagadkę, gdy naraz brama się otworzyła i ktoś pospiesznie wybiegł na ulicę.

Unruh zobaczył Myrę, w samej sukni, bez zimowego okrycia i podstąpił ku niej ze stłumionym okrzykiem. I ona zbliżała się ku niemu a paznokcie formalnie wpiły się w jego rękę. Oczy jej osłupiały ze strachu, zmęczenia i goryczy, zdawały się spoglądać poprzez głowę nauczyciela.

Wszystko to działo się w zupełnym milczeniu. W domu także panował spokój. Okna pozostały czarne.

Filip Unruh znalazł się wobec istoty, od której nie mógł żądać słów, ani wyjaśnień. Otoczona blaskiem jakiegoś nieznanego mu życia, oddawała się w jego ręce, jak martwa rzecz. Oczywiście niebezpieczeństwo i niezwykle okoliczności kazały mu zapomnieć głos rozsądku i siły postanowień. Uczucia jego pierzchliwe i stłumionym ogniem płonące, skryły się w godzinie czynu. Ujął Myrę w ramiona i wśród mroku nocy pospieszył z nią w kierunku swego domu. Brzemień to zdawało mu się lekkim, ale niepewne drżenie ciała w jego ramionach tamowało mu nieledwie bieg krwi w żyłach. Noc pusta i niema szła przed nim i błakała jego wzrok. Nie zapytywał siebie nawet, gdzie jeszcze może iść z bezwolną Myrą, prócz własnego mieszkania. Za sobą, ale już dosyć daleko, słyszał wśród ciemności i ciszy głosy jakiegoś, z których jeden donośny i dźwięczny, wykrzykiwał wciąż to samo słowo. Nie zważając na nie, ciekawie i nieufnie rozglądał się po ulicy, która zdawała mu się dziwnym, nieznanym dotąd krajem.

Szkoła, iwierna mu od tak dawna, tała dziś w sobie tysiące niebezpieczeństw. W zagłębieniu pod schodami czatowały błyszczące oczy. Wysoko, za kratami okien, paliło się zdradzieckie światło. W całym budynku jednak nie było ani jednego człowieka, nawet gospodyni, gdyż ta sypiała w domu starego Löwy'ego.

Dysząc ciężko, wyczerpany aż do zupełnej utraty sił, nauczyciel zawlókł Myrę po schodach na górę. Zamknął drzwi od pokoju, położył dziewczynę na łóżku i zapalił światło.

Oczy Myry były przymknięte. Poraz pierwszy widział jej twarz bladą. Zwilżył jej skroń wodą i wyszeptał jej imię. Nie poruszyła się. Wtedy przyłożył ucho do jej piersi i oczy rozszerzyły mu się z trwogi: serce nie biło wcale. Zdawało mu się teraz, że przestępna siła jakiegoś ledwie przeczuwanego pożądania skłoniła go do przyniesienia jej tutaj. Szybkim ruchem otworzył okno, w celu ujrzenia kogoś, ktoby mógł pobiedz po doktora. Ale ulice były ciemne i puste.

Zawołał: „Joanno!“ potem „Kunegundo!“ i kilka innych jeszcze kobiet, nie bacząc, że

może im sen spędzić z powiek. Potem wbiegł do sali szkolnej, wyjrzał przez okno, popatrzał w jedną stronę ulicy, w drugą, ale nie dojrzał nikogo. prócz pustki gniotącej, zdającej się budzić wśród monotonnego opadania płatków śnieżnych.

Kiedy jednak wrócił do pokoju, wstrząsany dreszczem strachu i chłodu, zobaczył Myrę siedzącą spokojnie na łóżku.

Uśmiechała się szczególnym, tępym, nieruchomym uśmiechem. Przepiękny łuk dolnej wargi i subtelna, marzycielska linja górnej występowały z czarującą wyrazistością.

Pochwycony osobiwą, trwożną radością, nauczyciel rzekł drżącym głosem:

— Przebudziła się pani?

Zbrodniczy postępek jego przedstawił mu się w całej jasności. Przecież on ją poprostu porwał. Teraz oto zbliża się odpowiedzialność, której uledek musi. Podziwiał teraz i bał się jednocześnie osoby, którą sam był przed kilkunastu minutami, owej osoby, postępującej tak dziko i bezwzględnie.

Stał na progu stroskany i zamyślony, oczekując, że wkrótce zażądają od niego wytłomaczenia. Jednocześnie w najtajniejszej głębi duszy chwycił znów pożądanie Myry. Zapytywał siebie, czyby nie można uchronić bramy od intruzów. Nastąpiłyby nieskończone godziny nocy. A nad ranem? — koniec wszystkiego.

Zamknął drzwi, gdyż dziewczę wstrząsnęło się od zimna. Unruh usiadł obok na łóżku i zapytał Myrę czy jest chora, gdyż w takim razie pójdzie sprowadzić lekarza.

Myra nie odpowiedziała, tylko z natężeniem wpatrywała się w światło lampy.

Nauczyciel spoglądał na nią ze smutkiem. Z natarczywą mocą obudziło się w nim pragnienie całowania tych tak słicznych ust. W głowie jego krzyżowały się plany i pomysły. Jednocześnie myślał o ubiegłym swem życiu, które zdawało mu się, niby gąszcz jakaś, szara i dżdżysta.

Oparł głowę o poręcz łóżka i zaczął płakać bezradnie, jak dziecko. Poczucie własnej namiętności i siły tych uczuć namiętnych przeraziło go nieskończenie, jak się to niejednokrotnie zdarza u ludzi religijnych i samotnych.

— Ach, to ty, Wilhelmie, — powiedziała Myra bezdźwięcznie. — Dlaczego mi nic nie czytasz? Przeczytaj mi coś wesołego.

Uśmiechnęła się jak przedtem i położyła rękę na rękę nauczyciela. Filip Unruh wyprostował się i, drżąc, mocno uściśnął tę dłoń. Zdało mu się, że widzi własne swe myśli, jak się stają czarne i obłędne.

— Weź tę samą książkę, — cicho dalej mówiła Myra. Wiesz, że, co w niej na pustej kartce pisałeś. To było najpiękniejsze, najświętsze. Matka przeczytała to i rzuciła się na mnie z nożem. Oh, cela ne fait rien! powiada madame Biraud. Widzisz przecież, że się śmieję, a teraz czytaj, czytaj!

Gdy Filip Unruh zwlekał, dziewczyna zniecierpliwiała się i usta jej drgnęły boleśnie. Wówczas nauczyciel wziął machinalnie kronikę z Au-

spaciu, jedyną książkę, która mu pozostała i drżącymi palcami zaczął przewracać w niej kartki. Czytał o starych wypadkach, o życiu margrabiów na dworze, o pamiątkach i prawach dawnych, o plagach wojny i dżumy — słowem, wszystko, co się może mieścić w kronice. Nigdy jeszcze wyrazy nie wydawały mu się bardziej beztreściwe i pozbawione znaczenia. Zdawało mu się, że odgrzebuje pył z jakichś ciemnych kryjówek.

Myra w zachwycie przysłuchiwała się każdej sylabie, ciesząc się, jakby śledziła rozwój ciekawej jakiejś sceny. Zwolna twarz jej przybierała wyraz senny. Oparła się znów o poduszki, oczy jej przymknęły się. Zdawało się, że zasnęła.

Nauczyciel z ciężkim sercem czytał dalej, napełniając cichą przestrzeń monotonnym dźwiękiem swego głosu.

Nagle Myra zerwała się.

— Czy mi nie wierzysz? — zawołała z wyrazem gorącego uczucia w głosie, w ruchach, w twarzy. — Czy mi nie wierzysz? Mogłabym umrzeć dla ciebie!

Zaśmiała się szczęśliwym śmiechem i znów opadła na poduszki.

Filip Unruh zamknął kronikę i ukrył twarz w dłoniach. Było mu zarazem tęskno i dobrze na sercu. Słowa te, bez względu na to, czy się stosowały do niego, czy nie, były do niego wymówione. Mógł teraz zapomnieć o przeszłości, nie żałując jej. Te wyrazy rozkołysały jego duszę, jak wzrusza powietrze dźwięk dzwonu w kościele.

Wiedział, że taka godzina zaufania, że taka noc cudów nie powróci już w jego życiu. To też wchłaniał w siebie wszelkie możliwości i nadzieje, jakby mógł zabezpieczyć w ten sposób przyszłość.

Obok było życie, bujne, zdobne w tklivość i poświęcenie a choćby w niebezpieczeństwo i śmierć. Bo śmierć jest warta... śmierci, gdy zabiera to, co jest prawdziwie posiadania godne.

Tak duch jego stał się dalekowidzącym i bystrym na krótką chwilę, która zawarła w sobie wieczność.

Przekonawszy się, że Myra tym razem rzeczywiście zasnęła, Unruh podniósł się cicho. Położył książkę na skrzyni i zamyślił się głęboko. Cóż miał począć z Myrą, chorą i bredzącą w gorączce? Obawiał się ludzi, którym dzień doniesie, kto przybył nocą do jego domu. Musiał więcej niż nad szczęściem własnym czuwać nad tem, aby się o niczem nie dowiedziano. Cenił bowiem opinię bardziej, niż szczęście. O, na to, według jego przekonania, reguluje mechanizm świata, zarówno w sprawach wielkich, jak w małych.

Nie było czasu do stracenia. Zarzucił znowu płaszcz na ramiona, przystąpił do śpiącej i długo patrzył na jej nieruchomą twarz, której sen nadał wyraz troski i zmartwienia. Potem postawił lampę na szafie i wyszedł cicho. Postanowił pójść do Siebengeista, aby uradzić z nim, jak należy postąpić.

Nie zamykając bramy za sobą, wyszedł na ulicę. Z wieży wybiła dwunasta. Niebo stało się jasne i jakby zdrętwiałe z zimna. Szczyty drzew i dachów leżały w błękitno-szarym mroku.

IX.

Kiedy Filip Unruh zadzwonił do drzwi apteki, otworzyło się okienko wysoko w murze i cienki dziewczęcy głos zawołał, że niema nikogo w domu. Państwo i pan prowizor są na balu w „Ratgeberze“. Prowizor wróci dopiero za godzinę—przez ten czas trzeba albo poczekać, albo posłać do Ratgeberu.

„Ratgeber“ było hotel, położony na t. zw. „górze“, o kwadrans drogi od miasteczka. Do „górk“ przylegał las, który stamtąd ciągnął się daleko, aż do środkowej Frankonji.

Filip Unruh szybko zdecydował się udać w drogę. Wyszędłszy na gościniec, zobaczył wysoko, na skraju lasu, oświetlone okna i usłyszał tony skocznej muzyki tanecznej, z każdym krokiem bliższe i donośniejsze.

Był to doroczny bal, który rok rocznie wydawała z wielkim przepychem w zapusty sama gmina. Można tam było spotkać nie tylko najznakomitsze osobistości miejscowe, lecz również przybyłego z Ausbachu prezydenta okręgu.

Z pobliskiego dworca dochodził hałas ustawianych wagonów. Śnieg na ulicach połyskiwał olśniewającym blaskiem. Na niebie gwiazdy migotały niepewne, jak migotają o zmroku światła w wodnej toni.

W miejscu, gdzie droga zaczynała się podnosić, tworząc początek „górk“, stała na gościńcu jeszcze, niewielka gospoda. W gospodzie tej, w największym jej pokoju, tańczyli parobcy i dziewczki w takt muzyki ustnej harmonjki. W niepewnym świetle lampki olejnej te kręcące się pary tworzyły obraz dziki i jaskrawy. W drugim, mniejszym pokoju, opierał się o okno mężczyzna jakiś, z czołem przyciśniętem do szyby. Nauczyciel poznał w nim natychmiast Apolonjusza Siebengeista.

Prowizor nie widział go najwidoczniej, gdyż żaden rys nie drgnął w jego smutnej, mrocznej twarzy. Filip Unruh zauważył, że pokój był pusty i bez wahania podstąpił ku wejściu.

Gospodarz pozdrowił go z wybuchami hałaśliwej radości, poczem przeprowadził go przez ciemniuteńki korytarz. Niedostrzeżona przez nich obu, szła za nimi jakaś przybyła z Ratgeberu postać niewieścia. Za ledwie nauczyciel przystąpił próg pokoju, postać ta wyprzedziła go i poszła a raczej pobiegła ku Siebengeistowi. Na twarzy miała czarną maskę, na ramionach długi, gładki płaszcz, narzucony na suknię balową. Oczy jej nienaturalnie błyszczały.

— Wiedziałam, że tutaj jesteś! — zawołała głosem ochryplym. — Ach, wiem! Udajesz rozbójnika i czyhasz tu na pewną komedjantkę.

— No, to cóż? — odparł dziwnie spokojnie Siebengeist. — Tak, czekam na nią, ale ona nie przychodzi jakoś, chociaż mi przyrzekła.

Głos jego był cichy i zmęczony. Nie zmieniając postawy, patrzył prowizor dalej przez okno na mrokiem okrytą drogę.

Gospodarz stał przyeczajony, z twarzą przyściśniętą do szczeliny drzwi i słuchał, uśmiechając się szyderczo. Filip Unruh ujął za kłamekę i zamknął drzwi z łagodną przemocą. Potem chrząknął z szacunkiem, chcąc dać znać o sobie.

Pokój ten był jakby dalszym ciągiem wąskiej sieni. Światło wpadało tylko w szczupłej ilości przez okno od świecy stojącej tam na stole, w szyjce od butelki.

— Czego się kłopotujesz, mój najdroższy? — mówiła dalej kobieta, składając błagalnym gestem ręce. — Popatrz na mnie chociaż. Rozkaż, żebym sprowadziła tu tę, którą kochasz a zrobię to, czego zapragniesz. Rozkaż, ale spójrz na mnie, nie zabijaj mnie!

— Jakże mam cię nie zabijać, kiedyś ty moje życie zburzyła, — odrzekł Siebengeist, spokojniej jeszcze, niż poprzednio. — Nie mogłem osiąść niczego, bo twoje sztuczki uczyniły mnie bezsilnym. Zwabiwszy mnie, odjęłaś moc moim pragnieniom. To też nie jestem teraz godnym osiąść to, co najlepsze. Zmarnowałem się przez ciebie. Idź więc do domu i bądź zadowolona.

Kobieta wzięła ze stołu kielich z winem, rzuciła go na ziemię, że aż kawałki szkła rozleciały się z brzękiem i zawołała w rozpacz:

— W takim razie niech moje pragnienie zyska moc, bo pragnę jej śmierci!

Przy tych słowach padła na klęczki, złożyła ręce i oparła twarz na kolanach młodego mężczyzny, który stał bez ruchu.

Nauczyciel pozostawał czas jakiś na swem miejscu u drzwi, drżący i wzruszony. Myślał, z rodzajem niechęci względem samego siebie, że miłość — to poniżająca człowieka, ślepa siła. Myślał, że lepiej nie wiedzieć, niż wiedząc, grzeszyć. Dawniej życie jego było jednostajne, ale spokojne; teraz widział dookoła twarze, rozgorączkowane cierpieniem lub pożądaniem. Zdawało mu się, że jakaś ospała, lecz silna istota otwiera w jego duszy oczy osłupiałe i zdumione.

Uzucie przyzwoitości popchnęło go do czynu. Śmiałym krokiem podszedł do stołu i wymówił:

— Dobry wieczór!

Baronowa zmieszana, podniosła się szybko.

Siebengeist odwrócił się opieszale i spojrzał w twarz nauczyciela badawczo, choć nie bez życzliwości.

— Przyszedłem — powiedział Filip Unruh, a cichy pokój jego zajaśniał naraz w jego myślach, jak wyspa zbawienia, — przyszedłem, aby powiedzieć coś panu, panie Siebengeist.

Prowizor przeczuwając coś złego, pociągnął nauczyciela w ciemny kąt pokoju. Oczy jego pociemniały, spojrzenie było niespokojne i niepewne. Cała twarz, tak zazwyczaj miła, przypominała twarz gracza, który pojął, że traci wysoką stawkę.

Nauczyciel zaczął beładnie opowiadać o wszystkim, co się zdarzyło.

Nie zwlekając, nie mówiąc ani słowa, Siebengeist zarzucił futro na ramiona, nałożył cza-

pkę i ruchem ręki dał znak nauczycielowi, by szedł za nim.

Obydwaj wyszli i pośpiesznie zstępowali w dół. Nie upłynął kwadrans, jak doszli do szkoły i zaczęli wchodzić po wązkich schodach.

Nauczyciel otworzył drzwi. Spojrzenie jego padło na łóżko — łóżko było puste. Myry nie było w pokoju. Teraz dopiero przypomniał sobie Unruh, że brama domu była tylko przymknięta.

— Odeszła... — szepnął bezdźwięcznie i mróz przebiegł po ciele jego, pokrytem zimnym potem. — Tu, na tem łóżku leżała, niech pan patrzy.

Umilkł, przypominając sobie słowa, które mu mówiła i popatrzył na ścianę, jakby nadsluchując echa tych wyrazów.

— Co pan zrobił, bakalarzu? Chyba się panu śniło to wszystko? — zawołał Siebengeist.

Zsunął czapkę na tył głowy i położył rękę na czole, pokrytem spletanemi, mokremi włosami. Naraz pochwycił przedmiot jakiś, leżący na stole, na białej kartce papieru.

Było to złote serduszko, z napisem: „vers Dieu va“.

Prowizor zagryzł wargi; twarz jego drgnęła. Serduszko upadło na ziemię.

— Może wróciła do domu, — szepnął pytająco Siebengeist.

Wzrok i postawa Filipa Unruh wskazywały, że gotów jest dać wiarę każdemu, najfantastyczniejszemu choćby, przypuszczeniu.

Na ulicy spotkali stróża nocnego, będącego w stanie zupełnej niepoczytalności. Nie widział nikogo i o niczem nie wiedział — bał nie wiedział nawet, czy dzień, czy noc jest na świecie.

Zadzwonili do bramy domu, w którym mieszkała matka Myry. Po jakimś czasie zjawiała się osoba niezwykle tuszy, podobna do wielkiej zielonej żaby. Nosiła szlafrok, koloru mchu i miała wąsy, jakkolwiek była kobietą. Osoba ta oznajmiła głosem chrypliwym, że pani przed godziną wyjechała z aktorem, monachijskim pociągiem pośpiesznym. Paniuszka zaś od wieczora nie wróciła jeszcze.

Siebengeist wsunął talara w rękę owej damy i przerywanym głosem poprosił ją o pożyczanie mu na parę godzin dobrej latarni.

Z latarnią w dłoni udali się przez plac targowy w kierunku Dyrkelburskiego gościńca. Milecząc, odbywali później z powrotem swą bezsensowną wędrówkę. Śnieg połyskiwał jasno w świetle latarni. Obydwaj przepelnieni byli tym samym niepokojem i tym samem przeczuciem. Każdy z nich obawiał się swoich słów i pytań drugiego.

Niekiedy Siebengeist zatrzymywał się i podnosił latarnię w górę, lub wchodził na kamień milowy i śledził cichy, ciemy krajobraz zimowy.

— Teraz musimy jeszcze iść do Theilheimu, — powiedział Siebengeist. I z rozdzierającym śmiechem dodał:

— Czy pan sądzi, że wystarczy jedna noc, aby ją odnaleźć?

— Taki gęsty las jest dokoła, — odrzekł nauczyciel. — Ale może być, że ona pozostała w miasteczku.

— Może być, to prawda. Co, wszystko być może? Może być też, że ona zginęła a ja ani razu nawet...

— Co takiego?

— Nie całowałem tych cudownych ust.

Siebengeist zatrzymał się na brzegu rzeki, odrzucił głowę w tył i przyknał oczy. Nauczyciel nie odpowiadał.

X.

Tej samej nocy jeszcze, nad ranem, przywiały oszalałymi wiatry z południa. Siebengeist i Unruh powrócili do miasteczka i spędzili bezsenne resztę nocy razem, w pokoju nauczyciela. Urywaniem opowiadaniem starali się zagłuszyć swe stroskane myśli. Siebengeist śmiał się z ich pochodu z latarnią, jak to on jeden potrafił, a nauczyciel myślał: „Adonis“. Tym razem jednak czuł się z nim związany, niby przez nietykalne przysięgi.

Między szóstą a siódmą Unruh spał jeszcze krótkim snem zmęczenia. Śniło mu się, że przekształcił się naraz w małą Kümmerlich, że stoi na dachu wieży i tak się wykrzywia, aż się śmieje niepohamowanie z jego min świat cały, a zwłaszcza jakaś kobieta w czarnej masce. Sen ten jednak miał w sobie coś dziwnie bolesnego, może dlatego, że wysokość wieży napelniała go strachem.

O godzinie dziewiątej, stojąc w klasie przed oknem i obojętnie patrząc na mury bóżnicy, Unruh zobaczył na ulicy zbiegowisko. Roznosiciel mleka wioził na swym ręcznym wózku wielki, ciemny przedmiot, który wyglądał jak ciało ludzkie. Roznosiciel z zapalem rozprawiał z tłoczonymi ludźmi i opowiadał im coś, przewracając oczy ze wzruszenia.

Nauczyciel otworzył okno i krzyknął zapytanie, co się stało. Odpowiedzieli mu, że znaleziono zmarzniętą dziewczynę na polu. Ludzie, który to mówili, mianowicie kowal, przekupka i stary Löwy, wydawali się świadomymi rzeczy. Piekarz także wyszedł ze sklepu, otrępując z ubrania mąkę grubym ramieniem.

Dzieci w sali szkolnej zerwały się z miejsc i gwałtownie rzuciły się do okien. Filip Unruh został pozbawiony swego punktu obserwacyjnego, gdyż horda gwarnych dziewcząt otoczyła go

i usunęła do okna. Nauczyciel nie znalazł nawet żadnego słowa, tylko patrzył bezmyślnie na jedną z jasnowłosych główek dziecięcych.

Z szybkością błyskawicy rozeszła się dokoła wieść, że aktorkę z trupy pana Schmalicha znaleziono zmarzniętą na polu.

— Leżała sobie w śniegu, biedaczka, jak we własnym łóżku, — mówił roznosiciel mleka do doktora Maspero, który dokonywał obdukcji zwłok.

Stawili się również burmistrz i urzędnik sądowy i wypytywali się ludzi, ciągnących wózek z trupem, markotnych, że się muszą zająć tą nic nie przynoszącą pracą.

— W tej niezwykle zdolnej dziewczynie tkwił materiał na Ofelję, — mówił pan Schmalich do członków swej trupy, w swym wypowiedzianem podczas próby wspomnieniu pośmiertnym. Potem nastąpiło coś o panteonie sztuki, o walce o byt i ocnie niewieściej.

Znakomite osobistości miasteczka przyjęły wieść o wypadku z zupełnym spokojem. Tylko namiętnie lubiąca teatr pani asesorowa posłała wieniec nieśmiertelników z bladą różową szarfą i równie bladym wierszykiem.

Wzburzyło to ogromnie panią naczelnikową, która opowiedziała całą historję w kasynie panu adjutantowi.

— Czyż może być większa głupota! — dodała z oburzeniem.

Pan adjutant uśmiechnął się uprzejmie, ale przyszedłszy do domu, stanął, rozstawiając nogi, przed swoją małpą i powiedział do niej:

— I cóż ty na to, droga Kümmerlich? Czyż to nie ciekawe: głupcy sami spostrzegają, że głupcy są głupi!

Małpa wykrzywiła się szyderczo.

— Śmierć jest zdarzeniem, z którym liczyć się trzema, — mówił do żony baron, nastrojony poważnie i poetycznie.

Baronowa, jak skamieniała stała, oparta o szafę, ze zdrewniałymi palcami, z rękoma zwiśniętymi bezładnie. Ale szczególny jej wygląd wywołał tylko przelotne zdziwienie w głowie poety. Natury takie są niby noże bez główki. Przypominają strzelca, któryby stanął w groźnej pozycji, gotów do strzału, trzymając w rękach zamiast dubeltówki — laseczkę. Pełzając jak glisty, sądzą buńczucznie, że prześcigają orła w locie. Aż do dnia, w którym legną na łożu śmiertelnym, śmierć jest dla nich zdarzeniem, które zasługuje na uwagę. (dok. nast.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO RÓGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str okładki 20 k. Na 4 str okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Glisczyńska.

Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Szańskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.